№ 30. Warszawa, dnia 10 (22) Lipca 1876 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera:—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

PUNKT DO ROZWODU.

Z KARTEK PAMIĘTNIKA

przepisała

MARYA SZELIGA.

(Ciąg dalszy).

Ostatnie blaski jesiennej pogody, zwabiły mię do ogrodu. Wbrew dotychczasowemu zwyczajowi, poszłam sama, w skromnym ubiorze, i długo błąkałam się po ubocznych ulicach. Nakoniec zmęczona, usiadłam na ławeczce ustronnej, i ze łzami w oczach patrzyłam to na drzewa z liści ogołocone, to na niebo zasłane chmurami. Pamiętam wiele chwil zachwytnego upojenia, gdyśmy ze Stefanem, jak para kochanków nieraz po całych godzinach przesiadywali tu we dwoje... o wiośnie... przy śpiewie słowika i świetle księżyca... Wiosna minęła, słowiki przycichły, a szczęście moje podobne tym liściom pożółkłym, które lada wiatr strąci z łodygi...

Powracając do domu, u drzwi spotkałam pana Władysława.

— Stefana nie ma, rzekłam witając go.

— Wiem o tem, ale czy to ma znaczyć, że mię pani wypędza, odparł.

— O nie! owszem, bardzo proszę.

Weszliśmy na górę. Zanim poprawiłam włosy i zdjęłam okrycie, pan Władysław przeglądał moje nuty, i później znajdując niektóre dość trudne utwory, spytał:

— Więc pani grywa?

— Trochę.

— Można prosić?

Nie ociągałam się. Słuchał z widocznem zdumieniem, nakoniec rzekł:

— Brawissimo! Pani gra lepiej jak pani Aloiza.

— Powiedzże mi pan o niej cokolwiek.

— Zrób pani z nią koniecznie znajomość.

— Na co? zapytałam niedbale.

— Czemu pani unika świata, mogąc w nim pierwsze zająć miejsce? wywdzięczył się pytaniem.

— Sądzisz pan może, iż to czynię przez skromność?

— Nie pani, obecnie widzę że przez dumę. Ale źle pani czyni, jeśli wolno mi prawdę powiedzieć, jako przyjacielowi...

— Prawdę cenię zawsze z jakiegokolwiek płynie źródła.

— A więc... pogarda pani dla świata, może ściągnąć od tegoż świata jeszcze straszniejsze zapomnienie.

— To mi wszystko jedno.

— Jakto? nikt więc i nic panią nie obchodzi na ziemi?

— Prawie...

— A mąż pani? zagadnął wpatrując się badawczo. Zmieszałam się.

— Mąż mój nie należy do świata, wyjąknęłam.

— Przeciwnie, duszą i ciałem.

— Wątpię, bo w takim razie cóżby dla mnie zostawało? rzekłam nieuważnie.

Pan Władysław pochylił się ku mnie. Dla tego to powiedziałem, strzeż się pani, bo może ci nie pozostać *nic*, w zamian za wzgardliwy sąd o świecie. Ludzie są ludźmi, mają swe wady, słabości, upadki, ale z tej właśnie przyczyny trzeba się do nich stosować.

— Tego nigdy nie potrafię.

— A ja sądzę przeciwnie, odparł z uśmiechem pan Władysław.

— Nie rozumiem pana.

— Zbliż się pani z panią Aloizą, była odpowiedź. Zaciekawia mię ten dwukrotny nacisk. Kto wie? może z nudów pójdę za radą Władysia.

. . . .

Sprawiłam dziś rano niemałą niespodziankę Stefanowi, mówiąc:

— Czy zechcesz mi towarzyszyć do hrabiny?

— Co?

Powtórzyłam zapytanie.

— Masz zamiar bywać u niej częściej?

— Mam zamiar nie opuścić odtąd ani jednego zaproszenia.

— Ależ, moja droga, bywając trzeba przyjąć u siebie.

— Naturalnie. I cóż to niemożliwego?

— I ty seryo o tem myślisz?

— Czy się na to nie zgadzasz?

— Bynajmniej, ale dziwi mię taka zmiana pojęć.

— Mamy jej codzienne przykłady.

Stefan spojrzał z pod oka i ruszył ramionami.

— Jak chcesz, rzekł obojętnie, masz zupełną swobodę.

Wybraliśmy się więc i według wszelkich prawideł odbyliśmy wizytę u głośnej z wdzięków i wesołego życia kobiety, u której hrabiowska korona okrywała promienną jasnością wiele ciemnych stron nigdy nie uwzględnionych u pospolitych śmiertelniczek. Mimo że godzinna paplanina nabawiła mię bólu głowy, przemogłam ją, i za jednym rozmachem objechaliśmy kilka znajomych domów, ku wzrastającemu podziwieniu Stefana, który głową kręcił, lecz widocznie przez dumę, nie sprzeciwiał mi się wcale. Ja zaś miałam swój plan osnuty na długich rozmyślaniach samotnych, i postanowiłam go bądź co bądź wprowadzić w wykonanie. Bierna rola sprzykrzyła mi się: zapragnęłam czynnej.

Wróciwszy z miasta, weszłam do mego pokoju, aby spocząć cokolwiek. Znużenie mię ogarnęło niezwykłe: jakaś czczość i próżnia w sercu, jakaś gorycz władała mną naprzemian, czułam się chorą moralnie, osłabioną fizycznie?

— Co warte to życie? pytałam sama siebie, jaki

jego cel, jakie obierać drogi, w co wierzyć? Wszystkie złudzenia młodości świat ściera... uczucia przemijają... obojętnieje serce... vanitas vanitatis! My naprzykład, Stefan i ja: kochaliśmy się szalenie, i połączenie nasze uważaliśmy za szczyt szczęścia... Tak było, a teraz... gdy już raz na zawsze ustanowiono nas wzajemną własnością, gdy formalnie i publicznie kochać się nam wolno, bodaj, że miłość, to skrzydlate i ślepe dziecko, znudziło się tym nakazem wiecznego towarzyszenia sercom, które i bez takiej spójni, nieodmiennie blizko siebie utrzymuje stuła i intercyza... I strach wyrzec... lecz bodaj także, iż miłosne więzy róż wiosennych, zwiędły już zaniedbane, jako dodatek zbyteczny tam, gdzie owa stuła i intercyza jeśli nie serca, to ręce przykuła razem żelaznym łańcuchem ustawy religijno-społecznej!

Tłum myśli ciśnie się do mej głowy, a jednak, boję się, niepowinnam pisać więcej pod tym wpływem zbuntowanej wyobraźni. Niestety! nie jestem wolną!

. . . .

Poznałam więc sławną panią Aloizę! A! co to za dziwna kobieta! Powierzchowność, układ, ruch każdy, to szereg przedmiotów wartych zastanowienia i studyów. Otoczona męzkim chórem, jawna bałamutka, szyderska a ujmująca, dowcipna i zręczna jak szatan, niebezpieczną jest dla każdej kobiety co szczęście swoje zasadza na sercu mężczyzny. Bo ta srebrnowłosa czarodziejka to serce zabierze jej, zbałamuci, rozkocha, i jak rusałka na śmierć załaskocze! A! jaka ona była powabna, podnosząc majestatyczną głowę na szyi giętkiej niby łabędzia, i wlokąc za sobą fałdy aksamitnej czarnej sukni z królewską powagą. Zbliżyła się do mnie i nim wymówiła jakiebądź słowo, ogniste oczy przesunęła po mej twarzy, i usta jej drgnęły sarkastycznym uśmiechem, strasznym a ponętnym, jak przepaść kwieciem barwiona. Dreszcz mię przejął ujmując podaną mi rękę, piękną jak z marmuru wyrobionego dłutem mistrza i jak marmur zimną.

— Rada jestem z poznania pani! rzekła głosem dźwięcznym jak śpiew wiolonczelli.

— I ja także, odparłam lakonicznie.

— Doprawdy? Czyż pani o mnie słyszała cokolwiek coby chęć usprawiedliwić mogło?

— Bardzo wiele. Pani należysz do osób któremi się zajmują tłumy.

— Jestem tyle nieszczęśliwą, uśmiechnęła się, a za to pani jesteś członkiem kategoryi przeciwnej... Ja o pani niesłyszałam nigdy nic, i dla tego, bardzo mię zadawala dzisiejsza niespodzianka.

— Wątpię, aby zadowolenie pani długo trwało, rzekłam, czując że we mnie wzbiera dziwna odwaga stawienia czoła tej pysznej piękności.

— Czemu?

— Sama pani spostrzegła że należymy do dwóch przeciwnych sobie obozów.

— O! niezawodnie! odparła bez wahania, lecz pamiętaj pani, que les extrémités se touchent! Panie Stefanie! — odwróciła się do mego męża który stał obok nas nie wtrącając się wcale do rozmowy — dziękuję ci, żeś mi nie opowiadał nic o swojej żonie: byłbyś mi zepsuł i spowszednił jedno z najmilszych wrażeń jakie doświadczyłam w tem mieście. Lecz powiedz mi teraz, zkąd i jakim sposobem doszedłeś do posiadania tego skarbu?

— Bardzo prostym, odrzekł niechętnie Stefan, poznałem ją u kuzynki na imieninach, i — ożeniłem się.

— Tak się u nas zwykle kojarzą małżeństwa.... szepnęła z lekkiem westchnieniem: ledwo się poznają, nieco pokochają, potem żenią, i... aż do śmierci!

Ostatnie słowa wymówiła prawie cicho i do siebie.

Stefan zakłopotany spuścił oczy, i kręcił wąsa. Ja wpatrywałam się w oboje, i nie wiem co mię nagle przejęło smutkiem i rozdrażniło niezmiernie. Łzy mi się gwałtem do oczu cisnęły. Chwilowe milczenie przerwał pan Władysław, który zjawił się rozpromieniony, i witając się ze mną, zarazem poprosił do zbierającego się kadryla. Stefan przypomniał dawniejsze zamówienie pani Aloizie. Skinęła głową obojętnie, i niemal z niechęcią. Oczy jej powlokły się niby gazą żałoby i rozmarzenia.

— Jak się pani podoba pani Aloiza? spytał Władyś prowadząc mię w taneczne koło.

— Oryginalna.

— Nieprawdaż? To właśnie jest jej cechą i wdziękiem. Te siwe włosy dodają jej coś tajemniczego...

— Kto wie co nagle jej krucze sploty powlokło taką wieczną bladością? wymówiłam patrząc na ciężkie warkocze spadające na smukłe choć rozwinięte ramiona tańczącej obok Aloizy. Może rozpacz, może zgryzota sumienia, może zbrodnia?...

— Co pani mówi? rzekł niedosłyszawszy Władyś. Podobno pani Aloiza po śmierci męża osiwiała tak w przeciągu jednej nocy.

Mimowoli rozśmiałam się ironicznie.

— Spojrz pan, czy to jest postać żony opłakującej zmarłego męża! rzekłam wskazując na nią, podającą z wdziękiem i kokieteryą rękę swemu tancerzowi, bez śladu zadumy, a z wyraźnemi oznakami żywego zajęcia półgłośną rozmową.

— To prawda! Pani Aloiza raz jest smętna, chłodna, lecz częściej wesoła, zajmująca, do zachwytu! Przede wszystkiem umie ona korzystnie wydawać się wśród towarzystwa, i w tym razie, może ona służyć za wzór wszystkim pięknym i młodym kobietom, które niejednokrotnie posiadając wyższe jeszcze przymioty, zagrzebują je jak perły w mórz toni...

Ze zdziwieniem słuchałam tej przemowy; i nie wiem dokądby ona się ciągnęła, gdyby nie kolej przetańczenia co wyrwała pana Władysława z oratorskiego zapału. Zakończył więc podając mi ramię do czwartej figury, i dodał tylko przyciskając lekko moją rękę do swojego boku.

— Pani, gdybyś tylko chciała mogłabyś być ozdobą naszych salonów.

Zdziwienie moje dosięgło szczytu, lecz dopiero po ukończeniu figury zdołałam je objawić memu nieproszonemu opiekunowi, twierdząc szczerze, że bynajmniej nie rozumiem ani pobudek, ani celów podobnej gawędy. Życie salonów nie przypada mi do usposobienia, a naśladować nikogo nie myślę.

— Właśnie, podchwycił, pani jesteś niemal tak oryginalną w swoim rodzaju jak pani Aloiza, lecz czemuż tak rzadko mamy sposobność widzenia pani? Chociaż dzisiejsze zjawienie się, pochlebia nam...

— Wybacz pan, przerwałam niecierpliwie. Dzisiejsze moje zjawienie nikomu nie pochlebia, prócz mojemu własnemu kaprysowi, który mię skłonił przerwać monotonnię samotnych wieczorów.

— Czy ten cudny kaprysik będzie trwał długo?

— Nie wiem.

— Czy nie można go ubłagać aby zawsze dawał pani tak zbawienne myśli?

— Ręczę panu, że połowa tego frazesu wystarcza, aby ów kaprys raz na zawsze zakląć do milczenia, wymówiłam ruszając ramionami, rozgniewana cklliwem wejrzeniem salonowca.

Władyś ucichł lecz z tak zabawnie przedłużoną fizyognomiją, że zagryzłam wargi, aby nie roześmiać się głośno.

Stefan często zwracał głowę w tę stronę, i zdawało mi się że słyszał całą rozmowę naszą. Pani Aloiza korzystając z przerwy między piątą a szóstą figurą, paliła papierosa, puszczając fantastyczne zakręty błękitnawego dymu. Ale widziałam że w następującej galopadzie, gdy jej tancerz silnie objął ją i do siebie przyciągnął, oczy jej błysnęły, lice ożywił rumieniec, kibić elastyczna chyliła się miękkim ruchem, a półsłówka zamieniane w tanecznym wirze, wywołały u Stefana wyraz tak dobrze mi znany, tak dawno nie postrzeżony przeze mnie... wyraz uniesienia, czułości, zachwytu! Nie! ja nie z zazdrości uczułam ból w sercu, to nie zazdrość po raz drugi napełniła moje oczy łzami... bo ja przez dumę niewieścią, nigdy nie poniżyłabym się do tego uczucia. Wreszcie... dziś już Stefan przestał być mojem szczęściem, duszą i myślą moją... nie, to było tylko rozdrażnienie nerwów, nic więcej!

Pod koniec wieczoru, pani Aloiza przysunęła się do mnie mówiąc:

— Od kwadransa biedzę się nad sposobem przedstawienia pani mej prośby w sposób niedopuszczający odmowy. Oto, pragnę uzyskać możność zbliżenia się do pani, pragnę, abyś nie idąc za popędem pierwszego wrażenia, zechciała nasze spotkanie uważać za wstęp do dalszych stosunków.

Podała mi rękę, w oczach migały utajone promienie, łagodny obraz maskował lice. Nie wypadało mi nic innego powiedzieć, nad:

— Bardzo chętnie! W tym razie, spotkały się nasze życzenia.

— Dziękuję, szepnęła ściskając dłoń moją.

Gdy wyjeżdżała, chór wielbicieli otoczył ją gotowy na każde skinienie, a ona stała pośród nich, z wysokiem czołem wzniesionem tak dumnie, jak władczyni przeświadczona o swej potędze; lekkiem skinieniem pożegnała towarzystwo, przelotnem wejrzeniem Stefana.

O! straszna to kobieta!

Wracając do domu, Stefan rzekł do mnie:

— A co? nie zniechęciłaś się do zebrań u hrabinki?

— Nie.

— I pojedziesz w przyszłą sobotę?

— Nie wiem.

— Czemuś taka, istnie na spartański wzór lakoniczna? Heluniu!

— Nie mam usposobienia do rozmowy.

— Do rozmowy ze mną?... A! widocznie przekładasz rozmowę np. z Władysiem. Bardzo ci winszuję gustu!.. rzekł obrażony.

— Twój przyjaciel Władyś, jest nudny i śmieszny, odparłam.

— Ale strasznie jesteś złośliwą, kochanie! wymówił śmiejąc się z mojej niecierpliwej miny. A... powiedzże mi, jak znajdujesz panią Aloizę?

— Nie znam jej jeszcze....

— O! ją nie łatwo poznać! szepnął pochylając głowę. Ja jej nie znam także...

— Dotąd?.. to szczególne.

— Heluniu! co tobie jest? Zkąd ten nacisk, to szyderstwo?

Milczałam...

— Zmieniłaś się bardzo od pewnego czasu.

— Nie mamy sobie nic do wyrzucenia.

— Ależ moja droga, nie bądź tylko dzieckiem, o cóż tobie chodzi. Jestem twoim mężem, tyś moją żoną, i na tem koniec... Nie pojmuję co ci może sprawiać taki humor osobliwszy?

— Ależ mój drogi! Wiem dobrze że jesteśmy tylko mężem i żoną, i z tego powodu, humor mój może w tobie żadnych nie obudzić obaw.

— O! jestem aż nadto spokojny! Tylko nie lubię chmur.

— Zwracasz się ku słońcu a ja ci nie przeszkadzam.

— Heluniu! nudzisz mię!

— Niestety! muszę ci to samo przyznać! rzekłam wzdychając z głębi serca. Po chwili pożałowałam tych słów, widząc że wywarły na Stefanie wrażenie

piorunujące. Pobladł, zmarszczył czoło, odsunął się ode mnie daleko i zagryzł wargi aby nie wybuchnąć gniewem czy wymówką. I potem milcząc, z miną nieprzystępną, przeszedł przez wschody nie podając mi ręki, i udał się do swego pokoju, nie zdając sobie wcale postrzegać mojej obecności.

To dziwna rzecz, jacy ci panowie obraźliwi, gdy im się powie toż samo, co oni czynem po tysiąckroć głęboko uczuć nam dają, nie przypuszczając w nas żadnej urazy. Stefan od kilku miesięcy zaniedbuje mię, lekceważy, zajmuje się inną nie wspomniawszy o mnie ani słowa. Nakoniec pierwszy oświadcza mi swe znudzenie; a maleńki odwet z mej strony wprawia go we wściekłość! O! nic z tego szanowny mój małżonku, jam nie stworzona na pokorną sułtankę! Za miłość miłością, lecz za chłód takimże lodem odpłacić potrafię. Poznaj czy to miło pocieszać się tem tylko, że jako małżeństwo *prawnie* zawarte, nic nas *prawnie* rozłączyć nie zdoła. Może być że to wielu kobietom na uspokojenie wystarcza, co do mnie, mam przekonanie, że kontrakt jest właściwy dla zapewnienia kapitału lub dzierżawy, lecz spokój i szczęście w małżeństwie gruntuje się tylko na podstawach uczuć, i gdy tych braknie lub ich nie było... precz z prawną pociechą i fałszywemi obietnicami.

. . . .

(*d. c. n.*)

Jedna z wielu.

— Kochałem ją szczerze, bo miła szczebiotka —
Tak mówił raz do mnie młodzieniec gorący,
— Bo zawsze potulna i giętka jak kotka,
A miała wzrok dziwny—promienny, palący.
Gdy krucze warkocze z perłami poplącze,
Na piersi umieści kamelję czerwoną,
Po rzędzie klawiszów paluszki swe rącze
Posunie twarzyczkę prawdziwie natchnioną,
I tony głębokie Szopena, Mozarta,
Przeleje ci jawnie, wyraźnie do duszy...
O! wtenczas, powiadam, że była mi warta,
Bym dla niej zniósł wszelkie cierpienia katuszy,
Bym dla niej poświęcił i życie to marne,
Gdy bez niej musiało przemijać w nicości,
A przy niej i przez nią na czyny ofiarne,
Wyrastać i mężnieć w porywach miłości.
Ej! cudne to było, prześliczne stworzenie...
Usteczka jej były — jak listki różane,
A ząbki bialutkie — jak lilji kwiat biały,
I w piersiach ci grało uczucie kochane,
Gdy razem się ząbki i usta zaśmiały.
Lecz w całej twarzyczce był wyraz tęsknicy,
Anioła, co cierpi zbłąkany na ziemi,
I błyszcząc dla ludzi promieniem źrenicy,
Zachmurza swe lice myślami tęsknemi.
Pamiętam, raz kwiatek podając mi mały
Co tylko na słońcu rozwija w dzień liście,
Mówiła: „Ten kwiatek to żywot mój cały,
On tylko rozkwita gdy ciepło, ogniście!"
— Pamiętam, na dzielnych wierzchowcach wieczorem
My cwałem pędzili szalenie po łące,
A byliśmy blizko, że sercem mem chorem
Liczyłem jej serca podrzuty gorące;
Mówiła mi wtedy: „O! lubię szał taki,
„Bo czuję, że żyję prawdziwie w tej chwili,
„Jak żyją te gwiazdy, te pola, te krzaki,
„Co darmo człek mądry przetworzyć się sili...
„Ty kochasz... nie kochaj! ja umrę niedługo..."
Tu przerwał młodzieniec; pytałem: Umarła?..
— W lat kilka, w Szwajcaryi; kochałem już drugą,
A ona się jakoś w mem sercu zatarła. *L.*

Życie prowincyonalne w Grecyi.

(Dokończenie).

III.

Baczny dostrzegacz nie tylko w święta i uroczystości poznać może jak łatwo Grecy unoszą się i zapalają. Grecya zaledwie zaczyna się odradzać a rozwój jej na drodze postępu tamują: duch stronnictwa i osobiste widoki i roszczenia. Jeżli niezgoda osłabia najpotężniejsze narody, jakżeż zgubnie oddziaływać musi na biedny ten kraik jeszcze nie uorganizowany, którego niezachwiane prawa nie bronią przeciw nadużyciom jednostek, a namiętności powstają i rozwijają się wśród chaotycznego bezładu. Społeczność grecka nie zna dotąd owych pięknych parlamentarnych słówek, pokrywających osobiste wyrachowania płaszczykiem patryotyzmu, tu nikt nie rumieni się wyznać otwarcie że jego politycznemi opiniami kieruje interes własny. Skutkiem bezpośredniego zetknięcia z Europą, Ateny nabrały niejakiego poloru, z resztą jest tam ściślejszy nadzór i lepiej wykonywany, — kto chce poznać mechanizm wyborczy grecki, towarzyszące mu intrygi i podstępy, musi badać go na prowincyi.

W Grecyi zaprowadzono głosowanie powszechne, bezpośrednie i najzupełniej niezależne. Izba deputowanych przedstawia naród; ministrowie są odpowiedzialni i pośrednicą między izbą a głową państwa, a tak ilekroć zajdzie jakieś nieporozumienie, co w Grecyi zazwyczaj prawie co trzy miesiące miewa miejsce, następuje upadek gabinetu lub rozwiązanie zgromadzenia, odnośnie do tego, na którą stronę król się przechyla. W pierwszym razie nowych ministrów wybierają z łona izby, w drugim zgromadzenie zostaje rozwiązane i nastają nowe wybory. Wtedy rozpoczyna się dramat elektoralny.

Tworzą się zaraz dwa lub trzy najnieprzyjaźniejsze stronnictwa, złożone z najbogatszych właścicieli, i w około każdego grupują się krewni, ich przyjaciele i znajomi i nareszcie interesowani, to jest tacy, którym w razie powodzenia przyobiecano posady: ten ostatni zastęp bywa zwykle najliczniejszy. Gdy już obozy się utworzą rozpoczyna się propaganda! dla zjednania zwolenników przywódzcy stronnictw urządzają i trzymają przez dwa tygodnie obficie zastawione otwarte stoły, do których zasiadają wszyscy próżniacy, włóczęgi a nawet żebracy, naturalnie objawiający dopiero w sam dzień głosowania że zostali przekonani i przystępują do stronnictwa amfitryona. Jednocześnie najgorliwsi stronnicy każdego obozu, przebiegają miasta i wioski poszukując sprzymierzeńców, oraz odwiedzają dłużników przyszłego deputowanego, przyrzekając obniżenie lub nawet umorzenie procentu albo długu, jeśli będą głosować za nim. Błogosławione to są chwile dla biedaków którzy zmuszeni byli zaciągnąć mały dług na obsianie pola lub ulepszenie swych winnic; wtedy mogą liczyć na jakąś względność wierzycieli a co najmniej zyskać na czasie. W rzeczywistości jednak, prędzej czy później wszystkich ich jeden los czeka. Wielki właściciel pożycza biedakom, którzy dla pewności ubezpieczają zaciągnięty dług na posiadanym kawałku ziemi, lub sprzedają go z prawem odkupu do oznaczonego czasu; nadchodzi termin, dłużnik nie jest w stanie wypłacić się i niemiłosierny wierzyciel zabiera jego własność. Bogaci uważają że to jest najprościejszy i najtańszy sposób powiększania swych posiadłości. Duchowieństwo greckie wielki ma wpływ na ludność wiejską, i dla tego wszystkie stronnictwa ubiegają się o jego względy.

Takie przedwstępne zabiegi trwają pietnaście dni i wywołują w całym kraju zaburzenia i nieporządki; każdy wyborca wielką do tego przywięzuje wagę, aby jego kandydat został deputowanym, ponieważ, jeżli jak zwykle, z utworzeniem nowej izby większość się zmienia, następuje niezwłocznie najzupełniejsza zmiana we wszystkich gałęziach administracyjnych i wszyscy urzędnicy, od najwyższych do najniższych, zostają zastąpieni nowymi. Jakież to obszerne pole do intryg i osobistych widoków!

Na dwa dni poprzedzające dzień głosowania, ludność roi się na ulicach miasta; mężczyźni rozprawiają żywo, a wojownicza ich postawa samą nawet żandarmeryę onieśmiela. Każdy nasłuchuje, chwyta wiadomości, śledzi *nieprzyjaciół*, gdyż za takich uważają tu politycznych przeciwników, a tłumy przechadzające się po ulicach szydzą i znieważają stronników przeciwnego obozu. W kawiarniach i na rogach ulic wyborcy krzyczą, rozprawiają, machają rękami; wrzawa ta podnieca namiętności, budzi do życia zadawnione niechęci i ani jedne wybory nie obejdą się bez wystrzałów i nożów, bez rannych i co najmniej kilku zabitych.

Każda rodzina, która choćby tylko marzyła kiedykolwiek aby ktoś z jej członków został deputowanym, posiada swoją urnę wyborczą. Jest to czworokątna skrzynka żelazna lub drewniana, którą przezorni Grecy urządzili lepiej niż w innych krajach. Prostopadła, w środku umieszczona przegroda, dzieli urnę na dwie części, a u góry, tuż po nad nią, mieści się otwór, którym wrzuca się gałka na którą kto chce stronę, tak więc w stanowczej chwili wyborca jest zupełnie swobodnym, gdyż niepodobna dostrzedz w którą przegrodę spuszcza gałkę. Każde stronnictwo dostarcza takich gałek każdemu kto chce głosować za jego kandydatem.

Gdy już rezultat wyborów zostanie ogłoszony, w stronnictwie zwycięzcy panuje głośna radość, w przeciwnych smutek i upokorzenie; biedacy zawiedzeni w nadziejach, obliczają z bólem serca ile to tysięcy drachm, ile starań i zabiegów poszło im na marne!...

Merowie także przez głosowanie powszechne zostają wybierani; wybory te są równie ważne jak wybory powszechne, których rezultat głównie w ręku merów spoczywa, gdyż wywierają oni w miastach tak wielki wpływ, iż wedle swej woli przechylają szalę zwycięztwa. To też stronnictwo z którego łona wybiorą mera, może być pewne że jego kandydat zostanie deputowanym.

Skutkiem intryg i przewagi zwycięzkich stronnictw, sądownictwo greckie nadzwyczaj jest krępowane w wymiarze sprawiedliwości; niech tylko wydany wyrok nie zgadza się z żądaniem wpływowego deputowanego, sędzia może być pewny dymisyi. Sądownictwo uorganizowane jest mniej więcej na podobieństwo sądów francuzkich; kodeks karny jest prawie jednakowy, obejmuje więzienie i karę śmierci; ale że w Grecyi daleko więcej jest zabójstw niżeli kradzieży, zatem sądy przysięgłych większą tu niż u innych narodów odgrywają rolę. Winowajcy skazani do ciężkich robót, wysełani bywają do dawnych fortów tureckich zamienionych w więzienia. Sterczą one naprzeciw sobie na dwóch małych pół-wyspach, Rion i Antirion, wpadających w morze i zamykających wejście do zatoki korynckiej, poniżej Patras. Niekiedy wydawany bywa wyrok śmierci. Opowiadają że bardzo długo w całem królestwie nie można było znaleść nikogo coby się zgodził pełnić obowiązki kata, a z zagranicy nie można było sprowadzać, gdyż przybyłego ludność zawsze zamordowała, nareszcie w r. 1850 znalazł się kandydat krajowiec, i odtąd nigdy ich już nie brakuje. Kat zamieszkuje w jednem z więzień. Czasami lata ubiegną a nie potrzebuje pełnić strasznych swych obowiązków, lecz za to zdarzało się niekiedy, zwłaszcza

gdy wojsku udało się pojmać licznych jeńców między kleftami, że po siedm głów ścinał na dzień. Któż nie przypomni sobie strasznego dramatu maratońskiego, jaki odegrał się tak niedawno i owej wystawy głów rozbójników, na placu w Atenach!

Pan Paweł d'Estournelles de Constant opisuje w swoim pamiętniku z podróży, wykonanie wyroku śmierci, w pobliżu Aïgion. Skazaniec otruł żonę aby mógł poślubić kochankę; po sprawdzeniu zbrodni, został skazany na śmierć. Jak w ogóle na Wschodzie tak i w Grecyi, podobny zbrodniarz nie budzi zajęcia ani litości; gwałtowne namiętności ludów południa, każą im pogardzać podobnie nikczemnemi środkami. Zabić wystrzałem lub pchnięciem noża, — łatwiej trafia do ich pojęcia: jest to przynajmniej prędka i doraźna sprawiedliwość czy zadość uczynienie!

W dniu oznaczonym na wykonanie wyroku, liczne tłumy udały się za miasto na plac nad morzem, mający być miejscem egzekucyi. Gdy do woli przypatrzyli się rusztowaniu, oczy wszystkich zwróciły się ku portowi. Było to w kwietniu, godzina ósma rano; o jakie tysiąc łokci od brzegu unosiła się na morzu lekka, wczoraj nadesłana fregata, a na niej znajdował się skazaniec. Od piętnastu już godzin oczekiwał spełnienia kary, i przez całą noc przysłuchiwał się wrzawie jaką sprawiali majtkowie zajęci ustawieniem gilotyny. Wtem nagle rozległ się głośny szmer i zaledwie tłumiony okrzyk radości; tłum dostrzegł dwie łodzie, jedna za drugą spuszczające się z okrętu. Płynąca w tyle zatrzymała się na morzu aby przedniej, na której płynął kat z pomocnikami, dać czas wylądować. Kat miał na sobie szerokie pantaliony, czarne kamasze i długi kaftan ciemnego koloru, z obcisłemi rękawami. Tłum przyglądał się przedsięwziętym przez niego przygotowaniom; gdy je skończył, skinął czapką i druga łódź wpłynęła do portu. Z ławki, na której siedział w łodzi, skazaniec miał ciągle przed oczami czarny szkielet gilotyny; ubrany był w bieli; obok niego siedział mnich w czarnym habicie; żołnierze otaczali do koła. Gdy łódź wpłynęła do portu, skazaniec lekko wyskoczył na ląd, pomimo kajdan jakie miał na nogach.

Cisza zapanowała w tłumie: był to truciciel. Wystawiano sobie że się okaże tchórzem, ale gdy wbrew oczekiwaniu szedł śmiało, pewnym krokiem i o jakie 30 kroków od rusztowania zatrzymał się chwilę i śmiało wlepił w nie oczy, tłumy zamiast urągać, rozstępowały się przed nim. Był to człowiek młody, średniego wzrostu, szczupły i doskonale zbudowany; nadzwyczajna bladość twarzy odbijała żywo od czarnej brody i takichże włosów, których długie zwoje spadały do koła głowy. Wielkie czarne oczy ożywiały twarz regularną jak starożytne marmurowe popiersia; wyraz ich był raczej smętny i słodki niż ponury i rozpaczliwy. W tej uroczystej chwili, wśród tłumu milczących widzów, chód jego miał w sobie coś majestatycznego; wstąpił na rusztowanie wolnym i dumnym krokiem, spojrzeniem panując nad wszystkimi. Kat zbliżył się do skazańca i położył rękę na jego ramieniu, podczas gdy pomocnik wiązał mu ręce; jednocześnie mnich szepnął mu coś do ucha, i skazaniec wypowiedział głośno słowa, których zapewne nauczono go na pamięć.

— Patrzcie, ukochani bracia! rzekł głośno i wyraźnie, gdzie prowadzi zbrodnia... Opuszczam was na zawsze i w tej ostatniej chwili, błagam, niech śmierć moja będzie dla was przykładem... A teraz powtórzcie za mną. Niech żyje król!... i tu dodał, wyraźnie z własnego natchnienia: Strzeżcie się kobiet... Zaklinam was!...

Grzmot oklasków odpowiedział na te słowa; kilka głosów zawołało: Łaski! lecz jednocześnie prawie głowa skazańca padła pod nożem gilotyny.

We dwie godzin potem, fregata odpływała z portu unosząc śmiertelne przyrządy, a na polu gdzie stało rusztowanie, trzoda pasła się spokojnie.

Tłum rozszedł się wracając do zajęć swoich; w drodze nikt ani wspomniał o strasznym dramacie; rozmawiano najspokojniej o żniwie, o zbiorze wina, o uprawie i handlu rodzynkami, i utyskiwano że przemysł narodowy nie popiera bynajmniej właściciele producentów.

W Grecyi, głównym produktem fabrycznym jest jedwab piękny, równy i doskonale przędziony; znaczną część jego wysyłają do Marsylji a ztamtąd do Londynu; pozostali właściciele przędą i wyrabiają u siebie na własny użytek.

Każda też rodzina posiada swój *ergalion* czyli warsztat, z którym wszystkie dziewczęta umieją się obchodzić.

Od czasu wojny o niepodległość, handel przybrał znaczniejsze rozmiary; najgłówniejszą jednak gałęź wywozową tworzą rodzynki koryncki, zwane tu *staphides;* uprawiają także winnice i drzewa oliwne. Grunt w ogóle jest dobry, a przynajmniej klimat do pomaga pracom rolniczym. W niektórych miejscowościach uprawiają bawełnę, owies i jęczmień, ale w tak małej ilości iż nie mogą być przedmiotem handlu.

W wielu okolicach wyrabiają wina, i te byłyby bardzo dobre gdyby ich nie psuto dodawaniem żywicy, co nadaje nieznośną gorycz; to też sprzedają je na miejscu za bezcen, dwa susy za litr. Jednakże w ostatnich czasach, odważniejsi przedsiębiercy z okolic Patras, zaczęli lepiej korzystać z rozległych swych winnic, nie dokładają żywicy do beczek z winem, i prędko aby się nie zepsuły, wysełają za granicę.

W Achaï, płaszczyzny i drogi wysadzane są drzewami oliwnemi, bogate wydającemi zbiory. Dotąd nie umiano korzystać z tego bogactwa, wyrabiano tylko jeden gatunek oliwy i jak się dało sprzedawano w kraju. Można widzieć w domu najbogatszych właścicieli że z jednej butelki zaprawiają sałatę i nalewają lampki. Jednak trzy lata temu, p. S. Messinezi, jeden z najbogatszych właścicieli sprobował wyprawić do Anglji obok pak z rodzynkami beczki oliwy; próba powiodła się nadspodziewanie i odtąd znalazł wielu naśladowców.

Dziś już jednak nie ulega wątpliwości, że wszystkie miasta leżące na północnym brzegu Peloponezu, mogą spodziewać się świetnej przyszłości handlowej, ponieważ posiadają na swoim gruncie trzy źródła pomyślności, z których każde stanowić może bogactwo. Rodzynki korynckie, coraz więcej są żądane i drożej płacone i dziś już wzbogaciły wiele rodzin; wina i oliwa dziś jeszcze niedostateczne dają zyski, ale gdy udoskonalą sposób ich otrzymywania, staną się ważnym przedmiotem handlu wywozowego i przyczynią się tym sposobem do podniesienia Grecyi, której największą klęską jest bieda.

Wielu podróżników pessymistycznem okiem zapatruje się na Grecyę i nie wierzy w jej odrodzenie; uśmiechają się litośnie, widząc iż pomimo swej niby ruchliwej działalności, dążeń do postępu i reform, to nowe społeczeństwo, podlega niewolniczo zastarzałym zwyczajom, trzyma się przeżytych instytucyj i sposobu życia dawno wygwizdanego w całej Europie; lecz chcąc Greków dobrze poznać i sprawiedliwie osądzić, nie należy poprzestać na porównywaniu ich szorstkich i pierwotnych obyczai i zwyczajów, z cywilizacyą tegoczesną i postępem pojęć europejskich. Bez zaprzeczenia zachodzi tu sprzeczność rażąca, prowadząca do niesłusznego wniosku. Rzućmy okiem o jakie lat pięćdziesiąt wstecz, i odnieśmy się myślą do tej epoki, kiedy Grecya uciemiężona, zostająca pod jarzmem ciężkiej niewoli tureckiej, istniała tylko nominalnie, i przypomnijmy sobie przez jak krwawe klęski przechodził biedny ten naród zanim odzyskał niepodległość, i z tego wyprowadzając porównanie, odnieśmy stan obecny do owej wiekopomnej daty 1821 r. a najniezawodniej wydamy przychylniejszy wyrok.

Od lat pięćdziesięciu jak się otrząsnęła z ciężkiej niewoli, Grecya dokazała już bardzo wiele; ma dziś dobre instytucye, stolicę, port, uniwerstytet, szkoły, kościoły; bank narodowy; niektóre koleje żelazne; statki ułatwiające komunikacye; pocztę, choć nie zbyt regularną; trakty pewniejsze jak dawniej; wojsko regularne i pułki utworzone z górali dla wytępienia rozbójnictwa.

W każdem mieście jest szkoła, filja banku, bióro telegraficzne, prefektura lub podprefektura, mer i rada municypalna. Dotąd musiała wszystko tworzyć, dziś potrzebuje już tylko ulepszać i udoskonalać, i sami Grecy przyznają że pod tym względem wiele im jeszcze pozostaje do czynienia; ale najtrudniejsze już dokonane, i gdy stopniowo oświata się rozszerzy, moralność i ukształcenie klas średnich udoskonali, Grecya będzie mogła świetnej spodziewać się przyszłości. *J. B.*

Korespondencya z Maryampola.

Szanowny Redaktorze!

Przeczytawszy w 26-ym N-rze Twego pisma z r. b. tak zwaną: „Korespondencyę z Maryampola“, zostałem również zdziwiony jej treścią jak i tendencyą. P. Poraj przemawiając do nas niby w obronie „słuszności i prawdy“, skrzywił obiedwie, zmuszając mnie, jako tutejszego mieszkańca, do przesłania niniejszej odpowiedzi.

Ucząc, nieznanego nam korespondenta Opiekuna Domowego „że korespondencya tak jak i krytyka mają pewne prawa, pewne warunki, które zachować potrzeba“ p. Poraj sam zapomina o nich zupełnie, nadając swej krytyce taką formę, na którą żaden *bezstronny* czytelnik zgodzić się nie może.

Nie myślimy jednak być rozjemcą na tej maskaradzie, ani obrońcą osób bez nazwiska: nie wdajemy się w filozoficzne sprzeczki o cywilizacyą nóg czy głowy. Cel nasz stawiamy jasno i otwarcie. Nie znosim fałszu!

Wczytując się w sentymentalno-jowialne morały p. Poraja, zadaliśmy sobie pytanie: co mu dało powód do tej korespondencyi? jaki jej cel? — i kto jest p. Poraj, broniący jak Don Kiszot honoru tych, którzy go o to nie proszą.

Jeżeli bowiem chciał bronić p. Sokołowskiego, to pominąwszy samą niedelikatność w przypominaniu choremu człowiekowi przebytej kiedyś przykrości, powinien był pamiętać o tem, że pan Sokołowski jako wytrawny i ustalonej sławy artysta, podobnej opieki nie potrzebuje wcale. Co do nas, mając sposobność poznania bliżej pana S. możemy zapewnić, iż on nie należy do tych czułków artystycznych, cofających się w oburzeniu za lada dotknięciem. Skromność i słodycz jego charakteru zanadto jest nam pamiętną, i nie daje prawa przypuszczać, ażeby go mógł obrazić fantastyczny wybryk naiwnego krytyka. *odradzającego* mu nadal grywanie wielkich fantazyi. Kto wie? a może tę radę natchnęły piszącemu słyszane podówczas „miłe i rzewne piosenki“, potrzebujące do wykonania mniej „siły i energji“, a o czem p. Poraj zapomniał wcale. Dla czegóż podejrzywać w ludziach złą wolę? dla czegóż, rzucać w nich błotem za zdanie, do wygłoszenia którego mieli zupełne prawo? Inna rzecz koncert w celach dobroczynnych, a osobistych lub prywatnych. Co się odbywa publicznie—publicznie rozbieranem być może. Sąd łago-

dniejszy lub surowszy zależy od osobistego pojęcia rzeczy i dobrej woli piszącego.

Estrada to nie Dom Schronienia, publika płacąca, nie Towarzystwo Dobroczynności, a koncertant, nie żebrak wyciągający rękę po jałmużnę, choćby moralną tylko. „Współczucie i wyrozumienie“ u obcych to częstokroć łzy krokodyle! prawdziwy artysta nie ucieka się do takich półśrodków, on jest wyższy nad jakieś „lekceważenia lub szykanę“, a siłą swego talentu zmusza najgorzej usposobionych słuchaczów do uznania siebie. Tryumfy pana Sokołowskiego w Londynie były tego najlepszym dowodem.

Na cóż więc takie jeremjady p. Poraju?

Pan S. nie potrzebuje miłosierdzia, *dziesięciorublowe* łóżka przy jego współudziale nabyte dla tutejszego szpitala, dowodzą że sam je udziela. Czy może i zacny korespondent miał w tym razie zlecone jakie komisoryum, a więc przy sposobności palnął mówkę pro domo suo? Szkoda tylko że do podobnych manewrów miesza osobę „której imienia wymienić mu nie wolno“ gdyż my znamy ją doskonale, a za górami, jest to obojętnem. Po cóż kadzić tak niezręcznie? Czy to przyzwyczajenie, czy obowiązek? Gdyby choć nieproszony opiekun, wypalił swe kadzidło na czasie, byłoby może stosowniej, teraz zaś wygląda to może i arystokratycznie, ale nie po naszemu.

Że p. Poraj ma pretensyę do arystokracyi, bije to aż nadto z jego korespondencyi, ale widząc jak jej zażywa, przypuszczamy, że nie musiał jej studyować w salonach.

Jeszcze niefortunniejszym według nas, byłby przypuszczalny powód bronienia tutejszych Dam Amatorek tak idealnie przyrównywanych do Siostr Miłosierdzia. Podejmujemy ten epitet i pytamy p. Poraja, kto mu tak niemiłosierną myśl *narailł?*

Prawdziwa Siostra Miłosierdzia nie lęka się chorych w Szpitalu, ani kul nieprzyjacielskich na polu bitwy, a więc p. Poraj ubliża naszym Damom, sądząc że one mniej posiadają energji i serca, że banalna wycieczka jakiegoś anonima potrafi rozbić solidarność i tutejsze stosunki towarzyskie, tak dalece, żeby aż na tem ucierpiały miłosierdzie i dobroczynność publiczna.

Tem śmieszniejszą wydaje się nam troska zacnego opiekuna, że prawdziwy artysta nie da się tutaj słyszeć z obawy jakiegoś „nieprzyzwoitego (?) korespondenta“ któremu tylko pańska spóźniona odpowiedź, nadaje chwilowe znaczenie. To za naiwne p. Poraju! Powody pańskie, są dla nas tak niezrozumiałe, iż musimy chyba przypuścić żeś chciał dla własnej przyjemności skruszyć włócznię *z nieznanym* przeciwnikiem? Ślicznie to i bezpiecznie! ale średniowieczne czasy minęły bezpowrotnie.

Zdejmcież panowie maski! niechże raz poznamy naszych zakulisowych napastników i obrońców!

Pierwszy z Was jest nam obojętniejszym, gdyż pisał tylko „z Maryampolskiego“ jeżeli kłamie, tem gorzej dla niego, ale pan p. Poraju odkąd pisujesz z Maryampola?.. Mamy tu wprawdzie korespondenta (Bogu niech będą dzięki!) ale ten wojuje tylko z żydami, i to zupełnie niewinnie a nawet z korzyścią, gdy pańskie nazwisko zupełnie nam nieznane. Czyś pan jako przypuszczalny arystokrata nie skomponował tej korespondencyi zagranicą, w Soblonie, a może w Baden-Baden? skoro potrzebowałeś aż sześć miesięcy czasu, dla dowiedzenia się i odpowiedzenia na jakąś nieudatną i nie dotyczącą pana korespondencyę? Co więcej, wczytując się w ten niby maryampolski produkt, jestem przekonany, że on widział Maryampol równie jak i pan chyba tylko w przejeździe. Samo lawirowanie pańskie, między koncertem amatorskim danym przy współudziale pana S. na rzecz tutejszego szpitala, a koncertem pana Sokołowskiego ze współudziałem tutejszych amatorek, odbytym *w rok później* dowodzi, żeś pan nie był na tym ostatnim, że zatem opiniować go nie masz prawa, że więc owe tragiczno-kwieciste pociski „w piersi artystek“ (bo o tych tylko wspominasz) zupełnie chybiły celu. Jeżeli do kogo, to do pana można słusznie zastosować pokorną prośbę: daj pan pokój wielkim fantazyom i nie mieszaj do nich ludzi nie mających z panem nic wspólnego. Prośbę tę wywołują pańskie obelgi, twierdzące że: „powołana korespondencya jest napisaną *pod względem celów podrzędnych* (sic) wstydzących się jasnych promieni światła, że zatem nie kwalifikuje się do poważniejszego rozbioru.“

Że ona nie kwalifikuje się do poważniejszego rozbioru, że do tego nie miała żadnej pretensyi i że pan poważnie rozebrać jej nie umiałeś, pojmuję to i zgadzam się w zupełności. Czego jednak pojąć nie umiem, to celu pańskiej odezwy, ani cudu, jakim, obcy nam p. Poraj, został wtajemniczony *w owe cele wstydzące się jasnych promieni światła*, o których my mieszkańcy tutejsi dowiadujemy się od niego po raz pierwszy. Nie mogę również pojąć, jakie to *„inne powody i względy“ skłoniły* zacnego korespondenta do podobnych wniosków, skoro za właściwsze uważał o nich zamilczeć?

Czy one nie są również ciemne i dwuznaczne, jak jego obrona i przezwisko?

Racz Boże na przyszłość zachować nas od podobnych przyjaciół. niech się kryją w ciemnościach. Co do nas, brzydziliśmy się zawsze podobną rolą, i nie chcemy dłużej rozbierać tej wstrętnej przyprawy, kończąc nasze uwagi, jedynem słusznem zdaniem pana Poraja, z całej jego korespondencyi, ażeby pamięć o wszelkich anonimach i pseudonimach, „puścić raz na zawsze na fale zapomnienia.

Edw. Uściński.

ASIA.

POWIEŚĆ TURGIENJEWA.

Przekład z rosyjskiego C. K.

Opowiadanie N. N.

I.

Miałem podówczas lat dwadzieścia pięć, — tak zaczął pan N. N. opowiadanie swoje, — widzicie więc że to są dawne dzieje. Wyrwałem się na swobodę i wyjechałem za granicę; nie dla tego, ażeby „skończyć wychowanie“ jak wówczas mówiono, lecz żeby obejrzeć się po Bożym świecie. Byłem zdrów, wesół, młody — pieniędzy mi nigdy nie brakowało, — kłopotów jeszcze nie miałem, żyłem więc nie myśląc o jutrze, robiłem co mi się żywnie podobało, jednem słowem, kwitłem. Nie przychodziło mi nawet naówczas do głowy, że człowiek nie jest rośliną i że nie długo może kwitnąć. W latach młodocianych jemy pozłacane pierniki, i sądzimy, że to jest właśnie chleb powszedni; przyjdzie jednak czas, że zapotrzebujemy chleba. Lecz co tam o tem mówić.

Podróżowałem bez celu, bez planu; zatrzymywałem się tam gdzie mi się podobało, i natychmiast udawałem się dalej, skoro czułem potrzebę widzieć nowe twarze—mianowicie twarze. Szczególnie interesowali mię ludzie. Ciekawe pomniki, rzadkie zbiory dla mnie nie istniały. Sam widok posługi hotelowej obudzał we mnie uczucie gniewu i nudy; omal nie zwaryowałem w drezdeńskiem „Grüne Gewölhe.“ Przyroda wywierała na mnie silne wrażenie, lecz nie lubiłem tak nazwanych piękności jej: niezwyczajnych gór, stromych skał, wodospadów; nie lubiłem kiedy mi się przemocą nasuwała, kiedy mi przeszkadzała. Lecz za to twarze, żywe ludzkie twarze, rozmowa i śmiechy ludzkie, oto bez czego nie mogłem się obejść. Zwykle w tłumie czułem się lekki i rzeźwy; wesoło szedłem tam dokąd szli wszyscy, krzyczałem gdy inni krzyczeli, lecz przytem lubiłem patrzyć jak ci inni krzyczą. Obserwowanie ludzi bawiło mię... W istocie zaś mało ich obserwowałem, przypatrywałem się im tylko, z jakąś nienasyconą i porywającą ciekawością. Lecz znowu odbiegłem od przedmiotu.

Przed dwudziestu laty więc, mieszkałem w małem niemieckiem mieście Z. położonem na lewym brzegu Renu. Szukałem samotności, gdyż nie długo przed tem, pewna młoda wdówka z którą się u wód poznałem, zraniła mi serce. Była to bardzo piękna i rozumna istota; bałamuciła wszystkich, a więc i mnie grzesznego; z początku ośmielała mię nawet, lecz potem zawiodła, przeniosłszy nade mnie rumianego bawarskiego porucznika. Prawdę mówiąc, rana serca mego nie była bardzo głęboką, lecz czułem się obowiązanym być czas jakiś smutnym i szukać samotności; w młodości wszystko nas bawi! Oto dla jakich powodów zamieszkałem w Z.

Mieścina ta, zbudowana u stóp dwóch wysokich pagórków, podobała mi się ze swego położenia, ze swych sędziwych murów i wież, z odwiecznych lip, ze stromego mostu zawieszonego nad modrą rzeką wpadającą do Renu, a szczególnie z dobrego wina. Wieczorem, po zachodzie słońca (było to w miesiącu czerwcu), po wązkich ulicach Z. przechadzały się piękne jasnowłose Niemeczki; spotykając cudzoziemca witały go mówiąc słodkim głosem: „Guten Abend;“ niektóre zaś nie wracały do domów nawet wtenczas, gdy księżyc wyglądając z po za śpiczastych dachów starych domów, rzucał blade promienie zarysowujące wyraźnie drobne kamienie bruku. Lubiłem błądzić o tej porze po mieście, zdawało się, że księżyc badawczo spoglądał na miasto, które czując to spojrzenie stało pogrążone w cichości i spokoju oblane światłemi i łagodnemi, a jednak przenikającemi do głębi duszy, promieniami jego. Na wysokiej gotyckiej dzwonnicy, kogut błyszczał bladym, złotym połyskiem; takież smugi złote drżały na ciemnem tle rzeki; cienkie świece (niemcy oszczędni!) paliły się skromnie w wązkich oknach, pod łupkowemi dachami; zakręcone wąsiki winnej łozy tajemniczo wyglądały z po za kamiennych ogrodzeń; na trójkątnym placu, w cieniu, koło starożytnej studni, coś się przesuwało, nagle rozlegała się senna gwizdawka stróża nocnego, czujny pies warczał przyciszonym głosem, miłe powietrze głaskało policzki, a lipy tak cudnie pachniały, że się mimowoli coraz głębiej oddychało, a imię „Grethen“ cisnęło się na usta na pół pytaniem na pół wykrzyknikiem.

Miasto Z. odległe jest od Renu o dwie wiorsty. Często chodziłem patrzeć na wspaniałą rzekę i siedząc długie godziny na kamiennej ławce pod olbrzymim samotnym jesionem, nie bez pewnej sztucznie wywołanej tęsknoty marzyłem o okrutnej wdowie. Nie wielki posąg Madonny z dziecinną prawie twarzą i purpurowem sercem na piersi przeszytem mieczami, smutno wyglądał z po za gałęzi rozłożystego jesionu. Na przeciwległym brzegu świeciło się miasteczko L. trochę większe od tego w którem zamieszkałem. Pewnego wieczoru siedziałem na swej ulubionej ławeczce i patrzałem to na rzekę, to na niebo, to na winnicę. Nie daleko ode mnie leżało wyciągnięte na brzeg i przewrócone osmolonym grzbietem do góry czółno, na które starali się wdrapać chłopaki o blond włosach. Okręciki unoszone lekko rozdętemi żaglami posuwały się powoli; zielonawe fale szeleszcząc i nabrzmiewając zlekka płynęły mimo.

Wtem, do uszu moich doleciał odgłos muzyki. Zacząłem się przysłuchiwać. W L. grano walca; kontrabas rzempolił urywanie, skrzypce jęczały niewyraźnie, flet dziarsko wygwizdywał.

— Co to jest? zapytałem zbliżającego się ku mnie staruszka, w manszestrowej kamizelce, niebieskich pończochach i trzewikach ze sprzączkami.

— A to, odparł zapytany, przekładając fajkę z jednego kąta ust do drugiego, studenci przyjechali z B. na kommersz.

Popatrzę na ten kommersz, pomyślałem sobie, przytem, nie byłem jeszcze w L. Znalazłem przewoźnika i przeprawiłem się na tamtą stronę.

II.

Być może, nie wszyscy wiedzą co to jest kommersz. Jest to szczególniejszego rodzaju bankiet, na który zbierają się studenci danej okolicy lub bractwa (Landsmannschaft). Prawie wszyscy biorący udział w „kommerszu,“ noszą oddawna ustanowiony ubiór niemieckiego studenta; węgierki, długie buty i malutkie czapeczki z rozmaitego koloru obwódkami. Na obiad studenci zbierają się zwykle pod prezydencyą seniora t. j. starszego, i biesiadują do rana. Piją, śpiewają pieśni, Landesvater, Gaudeamus, palą i wymyślają na filisterów; czasem najmują orkiestrę.

Taki to kommersz miał miejsce w L., w niewielkim hotelu „pod słońcem,“ w ogrodzie wychodzącym na ulicę. Hotel i ogród ozdobiono chorągiewkami, studenci siedzieli koło stołów ustawionych pod strzyżonemi lipami; pod jednym stołem leżał ogromny buldog. Z boku, w bluszczowej altanie, orkiestra wygrywała z zapałem, pokrzepiając się co chwila piwem. Na ulicy, koło nizkiej sztachety okalającej ogród, zebrał się tłum nie lada. Poczciwi obywatele miasta L. nie chcieli stracić zręczności przypatrzenia się przejezdnym gościom. I ja też stanąłem w tym tłumie. Wesoło patrzałem na twarz studentów; ich wykrzykniki, uściski, niewinna kokieterya młodości, pałające wejrzenia, śmiech bez powodu, najlepszy śmiech na świecie, to wrzące młode życie, to dążenie naprzód, dokądkolwiek, byle naprzód, ta dobroduszna wesołość rozrzewniały mnie i elektryzowały. Czy nie pójść do nich? pytałem siebie...

— Czy ci jeszcze mało, Asiu? nagle ozwał się za mną głos męzki po rosyjsku.

— Poczekajmy jeszcze, odparł drugi, niewieści głosik tymże językiem.

Obejrzałem się... Wejrzenie moje padło na pięknego młodzieńca w czapce i szerokiej kurtce; trzymał on pod rękę panienkę wzrostu nizkiego, w słomianym kapeluszu zasłaniającym górną część twarzy.

— Państwo Rosyanie? mimowoli wymknęło mi się pytanie.

Młody człowiek uśmiechnął się i odrzekł:

— Tak panie.

— Niespodziewałem się... w takim zakątku... zacząłem...

— I myśmy się też nie spodziewali — przerwał. A więc cóż? tem lepiej. Pozwól pan przedstawić się: nazywam się Gagin, to zaś jest moja... tu się zaciął na chwilę, moja siostra. A czy wolno spytać o pańskie nazwisko?

Powiedziałem mu swoje i rozmowa się zawiązała. Dowiedziałem się, że Gagin podróżując, również jak i ja, dla przyjemności, przed tygodniem zajechał do L. i tu się zasiedział. Mówiąc otwarcie, niechętnie zawiązywałem zagranicą znajomość z Rosyanami. Zdaleka już poznawałem ich z ruchów, z kroju sukien, a szczególniej z wyrazu twarzy. Wyraz zadowolenia z siebie, wyraz pogardliwy, a często i rozkazujący, nagle przedzierzgał się w wyraz bojaźliwy, ostrożny i nieśmiały. Oczy zaczynają niespokojnie biegać, a trwożliwe wejrzenie zdaje się mówić. „Czy broń Boże, nie zrobiłem jakiego głupstwa, czy się czasem ze mnie nie śmieją?“ Lecz utracona na chwilę powaga wraca prędko i tylko od czasu do czasu, na twarzy ich maluje się wyraz głupiego zdziwienia. Tak, unikałem Rosyan, lecz Gagin od razu przypadł mi do serca. Bywają na świecie szczęśliwe twarze na które każdy z przyjemnością spogląda. Gagin miał właśnie taką twarz: miłą, łagodną, z dużemi oczami. Włosy miał miękkie i kędzierzawe. Mówił tak, że nawet nie patrząc na niego, można było poznać że się uśmiecha.

Panienka, którą nazwał swą siostrą, wydała mi się na pierwszy rzut oka bardzo ładną. Było coś niezwyczajnie oryginalnego w jej okrągłej, smagłej twarzy, z niewielkim cienkim nosem, prawie dziecinnemi policzkami i czarnemi błyszczącemi oczami. Była pełną gracyi, lecz jakby niezupełnie jeszcze rozwinięta. Do brata swego wcale nie była podobną.

— Czy nie zajdziesz pan do nas? zaproponował Gagin. Zdaje mi się żeśmy się dość na Niemców napatrzyli. Nasi studenci pobiliby pewno okna i połamali krzesła, ci zanadto są skromni. Jak sądzisz Asiu, czy już pójdziemy do domu?

Dziewczę twierdząco kiwnęło głową.

— Mieszkamy za miastem, mówił Gagin dalej, w winnicy, w samotnym domku, wysoko. Zobaczysz pan jak tam pięknie. Gospodyni przyrzekła nam dać dzisiaj mleko kwaśne. Wkrótce pociemnieje i panu będzie przyjemniej przepłynąć Ren przy świetle księżyca.

Poszliśmy. Wyszliśmy na pole, przez nizką bramę miastową (starożytny mur z krzemienia otaczał miasto L., niektóre nawet strzelnice były jeszcze całe) i przeszedłszy ze sto kroków koło muru, stanęliśmy u wązkiej furtki. Gagin otworzył ją i poprowadził nas na górę po stromej ścieżce. Z obu stron na pochyłościach rosły winogrona. Słońce tylko co zaszło i zarumieniło purpurowym swym blaskiem zieloną łąkę, wysokie żerdzie, suchą ziemię pokrytą rozmaitej wielkości kamieniem ciosowym i białą ścianę niewielkiego domku z poprzecznemi czarnemi belkami i czterema światłemi oknami. Domek ten stał na samym szczycie góry na którą wchodziliśmy.

— Oto mieszkanie nasze, zawołał Gagin, gdyśmy się do domku zbliżali: a oto i gospodyni niesie nam mleko. Guten Abend, Madame. Zaraz będziemy jeść, lecz pierwej, spojrz pan... co za widok!

Widok był w istocie cudowny. Przed nami wspaniały Ren otoczony zielonemi brzegami toczył swe srebrne wody oświecone w jednem miejscu szkarłatną pozłotą zachodu. W tulącem się na brzegu miasteczku, wszystkie domy i ulice widne były jak na dłoni. W około rozległ się obszerny widok na pola i pagórki. Na dole było pięknie, lecz na górze jeszcze piękniej. Szczególniej zdziwiła mię czystość i głębia nieba a takoż przezroczystość świeżego, lekkiego powietrza, falującego i unoszącego się na tych wysokościach z większą niż na dole swobodą.

— Śliczne pan wybrałeś mieszkanie, rzekłem.

— Asia je znalazła, odparł Gagin. Gospodarujże Asiu. Każ tu wszystko podać; będziemy jeść kolacye na świeżem powietrzu. Ztąd lepiej słychać muzykę. Czy zauważyłeś pan, rzekł zwracając się ku mnie, że zblizka niektóre walce nie są nic warte, dźwięki ich zanadto są huczne, w oddaleniu zaś wydają się cudowne, i mimowoli budzą w sercu wszystkie romantyczne struny.

Asia, imię jej było Anna, lecz Gagin nazywał ją Asią, pozwólcie więc i mnie tak ją nazywać, Asia poszła do domku, lecz wkrótce wróciła wraz z gospodynią. Obie niosły ogromną tacę, a na niej garnek mleka, talerze, łyżki, cukier, jagody i chleb. Usiedliśmy i zaczęli jeść wieczerzę. Asia zdjęła kapelusz; czarne jej włosy ostrzyżone i uczesane po chłopięcemu spadały w obfitych promieniach na uszy i szyję. Z początku była ze mną trochę nieśmiała, lecz Gagin powiedział jej:

— Asiu, dość już krzywo patrzeć! on nie kąsa.

Uśmiechnęła się i wkrótce sama zaczęła ze mną rozmowę. W życiu swojem nie widziałem tak ruchliwej istoty. Ani jednej chwili nie mogła usiedzieć spokojnie: wstawała, biegała do domu i znowu wracała, nuciła półgłosem, często się śmiała, lecz jakoś dziwnie: zdawało się że się śmieje nie z tego co słyszy, lecz z rozmaitych myśli, które jej do głowy przychodzą. Wielkie jej oczy patrzały prosto, śmiało, jasno, lecz czasem przymrużała z lekka powieki i wówczas wejrzenie jej stawało się nagle głębokie i czułe.

Gawędziliśmy parę godzin. Światło dzienne dawno już zagasło, wieczór zaś z początku ognisty, potem jasny i purpurowy, zatem blady i smętny powoli w noc się zamieniał, a rozmowa nasza spokojna i łagodna jak powietrze nas otaczające, jeszcze się nie skończyła. Gagin kazał przynieść butelkę wina reńskiego; piliśmy ją powoli. Odgłos muzyki ciągle nas dolatywał; zdawało się że dźwięki te stają się coraz tkliwsze, rzewniejsze; światła zapalały się w mieście i nad rzeką. Asia spuściła nagle głowę tak, że włosy jej spadły na oczy, zamilkła i westchnęła. Wkrótce potem powiedziała nam, że jej się spać chce i poszła do domu; widziałem jednak że nie zapalając świecy długo jeszcze stała przy zamkniętem oknie. Nareszcie księżyc wypłynął i odbił się w wodach Renu, wszystko się oświeciło, zmieniło, nawet wino w szlifowanych szklankach przybrało tajemniczy odblask. Wiatr ustał jakby stulił skrzydła i zamarł; z ziemi powiało balsamicznem, nowem ciepłem.

— Czas już iść! zawołałem, inaczej mogę nie znaleść przewoźnika.

— Już czas, powtórzył Gagin.

Poszliśmy na dół po ścieżce. Nagle za nami potoczyły się kamienie; Asia nas dopędzała.

— Ty jeszcze nie śpisz? zapytał ją brat; lecz Asia nic nie odpowiadając przebiegła koło nas. Ostatnie umierające pochodnie zapalone w hotelowym ogrodzie przez studentów oświetlały liście drzew z dołu, co tworzyło fantastyczny obraz. Znaleźliśmy Asię na brzegu: rozmawiała z przewoźnikiem. Wskoczyłem do czółna i pożegnałem się z nowemi przyjaciołmi memi. Gagin obiecał odwiedzić mię nazajutrz; uścisnąłem rękę jego i podałem swoją Asi; lecz ta spojrzała tylko na mnie i pokiwała głową. Czółno odbiło od brzegu i wkrótce znalazłem się na środku bystrej rzeki. Przewoźnik, czerstwy starzec, z wytężeniem zanurzał wiosła w ciemnej wodzie.

— Wjechałeś pan w smugę księżycową, zmąciłeś ją pan! zawołała Asia.

Spojrzałem; czarne fale kołysały czółno nasze.

— Żegnam pana! znowu się rozległ głos jej.

— Do jutra! powtórzył Gagin.

Czółno przybiło do brzegu. Wyszedłem i obejrzałem się. Na przeciwległym brzegu nie było już nikogo. Smuga księżycowa podobna do złotego mostu ciągnęła się przez całą rzekę. Jakby na pożegnanie dały się słyszeć dźwięki staroświeckiego walca Lannera. Gagin miał słuszność: uczułem, że wszystkie struny serca mego zadrżały w odpowiedzi na te pieszczotliwe tony. Poszedłem do domu przez poczerniałe pole, napawając się balsamicznem powietrzem i wszedłem do pokoiku mego całkiem rozmarzony, z uczuciem słodkiej tęsknoty za czemś nieograniczonem i nieokreślonem. Czułem się szczęśliwym... Lecz dla czego byłem szczęśliwy? Nie pragnąłem niczego... o niczem nie myślałem... Byłem tylko szczęśliwy.

Uśmiechając się prawie do doznawanych przyjemnych i błogich uczuć, położyłem się spać i już nawet zamknąłem oczy, gdy w tem, przyszło mi nagle na myśl, żem przez cały wieczór ani razu nie pomyślał o okrutnej piękności... „Cóż to?“ zapytałem samego siebie: „czyż nie jestem zakochany?“ Lecz zadawszy to pytanie, wkrótce zdaje mi się zasnąłem tak spokojnie jak dziecię w kolebce.

(*d. c. n.*)

Przegląd literacki.

Z innego świata, powieść przez Emmę Iwaszkiewicz. Warszawa 1876.

Jednym z bardzo pocieszających objawów, świadczących o dojrzewaniu życia umysłowego naszej społeczności, jest co chwila wzrastający zastęp piszących kobiet: i zaprawdę, społeczność w której kobiety zaczynają głębiej zastanawiać się nad jej stanem, pracować umysłowo i czuć potrzebę zakomunikowania ogółowi swych badań i pomysłów, społeczność ta w całym swym ogólnym składzie musi już stać na wyższym stopniu duchowej dojrzałości; zwykle bowiem część każdego narodu składająca się z tak zwanej płci pięknej bywa przedstawicielką słabszej strony jego prac i sił umysłowych: gdzie przeto słabsi czują się na siłach, silniejszym niewątpliwie ich nie brak. Nie jest to zdanie optymizmu, ale zimnej logiki.

Obecnie przybywa nam nowa zupełnie autorka w osobie pani Emmy Iwaszkiewiczowej. Powieść jej nosząca tytuł: *Z innego świata*, jako próba talentu, jest utworem dość znacznych rozmiarów, pomimo pewnych niedoskonałości właściwych pierwszej pracy, odznacza się nieposolitą wrodzoną łatwością pióra, potoczystością stylu i dojrzałością zasad wykazujących prawdziwą znajomość życia towarzyskiego, mianowicie w sferze naszego wielkiego, czy też *pięknego* świata. Autorka na podstawie wyrozumowanych przekonań stara się wskazać drogę, którą pojęcia demokratyczne i postępowe mogłyby praktycznie wpływać na reformę moralną arystokracyi szlacheckiej i tem samem przynieść korzyść ogółowi społecznemu. Drogą tą jest oddziaływanie na świat arystokratyczny za pośrednictwem kobiet z jego własnej sfery; ideałem czyli typem kobiety zdolnej do uskutecznienia podobnej misyi jest w powieści pani Iwaszkiewiczowej Antonina Delmar, córka książęcego domu po matce, a po ojcu doktora i pono nie szlachcica. Cicha ta bohaterka *z innego świata*, pociąga czytelnika jasnością swej rzadkiej osobistości, i budzi w nas życzenie, aby wszystkie kobiety były do niej podobnemi.

Zapytujemy siebie do jakiego rodzaju powieści można zaliczyć ten utwór? Nie jest to powieść historyczna, bo wypadki treść jej stanowiące nie sięgają zbyt odległych czasów, choćby się obecnie dziać nie mogły; brak im perspektywy, owego oddalenia w czasie, które wydarzeniom nadaje charakter dziejowy; zapomnieliśmy już o tych ludziach i o tych smutnych stosunkach społecznych, a jednak wielu z nas patrzało jeszcze na nie własnemi oczyma. Nie jest to powieść ściśle obyczajowa, malująca dzisiejszość, mająca tendencyą w odwzorowaniu jakiej ujemnej lub dodatniej strony tegoczesnego społeczeństwa, jest to raczej studyum psychiczne, analiza wielu charakterów ludzi arystokratycznego świata i zarazem nauka dana w typie możliwym, chociaż dotąd nie rzeczywistym głównej bohaterki; z tego ostatniego względu wypadałoby ten utwór nazwać dydaktycznym. Słowem, gdyby to była nie powieść, a rozprawa filozoficzna, nazwanoby jej autora eklektykiem, jako myśliciela łączącego w sobie rozmaite rodzaje i kierunki.

Brak intrygi, drobiazgowe studyowanie charakterów i faktów, scena prawie wyłącznie w salonie, forma narracyjna, wywyższanie kobiet, lekceważenie mężczyzn, lub rozmyślne wystawianie ujemnej strony ich charakterów, zamiłowanie w rozumnej emancypacyi kobiet, tolerowanie ich słabostek i błędów przypisywanych głównie wpływowi otaczającego je społeczeństwa, a nie im samym, nie ich naturze; wszystko to, mówię, zdradza w nowej autorce naśladowanie pod względem kierunku i rodzaju, dwóch sławnych francuzkich pisarzy Balzaka i Jerzego Sand; nie mówimy tu o naśladownictwie ślepem z umysłu, ale o duchowem nastroju powstałym, jak się zdaje, z naczytania. Autorka zna naszą społeczność, kocha ją, widzi i pojmuje różnicę zachodzącą między nią a społecznością francuzką, ale takiem okiem patrzy na nas, jakiem mianowicie Jerzy Sand patrzy na Francyą i na swe Indjany, Żuljety, Lelje i Zynzoliny; jak ten pisarz kocha kobiety *męczennice* i czarną farbą maluje podstępnych, namiętnych i winnych wszystkiemu złemu mężczyzn; z drugiej strony czyni ich zbyt uległymi płci pięknej i poddanemi wpływowi moralnemu tych, które, wedle przysłowia, mają rządzić nami, choć my rządzimy światem.

Ramy niniejszego artykułu nie dozwalają nam podać treści utworu pani Iwaszkiewiczowej, który się czyta z zajęciem, pomimo małej, zaledwie w kilku scenach żywszej dramatyczności. Należy się nowopoczynającej autorce słowo pobłażania i zachęty, bo nie brak jej rzeczywistego talentu, który nie wątpimy, pozyska z czasem powszechne uznanie. Autorka dobrze poczęła swój zawód; uczciwość tendencyi, trafność poglądów na życie towarzyskie, znajomość serca dają jej prawo do dalszej pracy i powinny zarazem dać siłę do zdobycia w naszej belletrystyce właściwego zdolnościom stanowiska. Kto myśli poważnie, kto czuje głęboko, niech się nie zraża nieżyczliwością lub milczeniem krytyki, samą nawet obojętnością publiczności, niech pracuje, niech pisze, z czasem i krytyka i publiczność, uzna jego talent, oceni zasługi. *J. L.*

O ubiorach.

W obecnej chwili większa część czytelniczek naszych zajęta jest przysposobieniami do dalszych lub bliższych podróży, jeżeli nie do wód lub kąpieli morskich, to przynajmniej z miasta na wieś, a ze wsi na różne mniej więcej odległe wycieczki i przejażdżki. Najwięcej zatem na dobie będą uwagi dotyczące ubiorów podróżnych. Już w ubiegłym kwartale podaliśmy fasony i formy różnych płaszczyków, paletotów, kostiumów i kapeluszy najwłaściwszych do podróży, oraz opisy i wzory rozlicznych drobnostek i przyborów, potrzebnych i wygodnych.

Do dalszej drogi nieodbicie potrzebny jest płaszczyk długi i szeroki, którego formę podaliśmy w N. 22 na ryc. 40 i w N. 23 Tygodnika na ryc. 13; zasłania bowiem od kurzu i deszczu, a w nocy może kołdrę zastąpić, zwłaszcza gdy będzie odrobiony z miękkiego, wełnianego materyału. Lekka jedwabna lub włóczkowa chusteczka, trzymająca 85 do 90 centymetrów w kwadrat, jest najdogodniejsza do osłonięcia głowy i szyi. Kostium z materyi wełnianej w kolorze popielatym, écru, lub innym nie zbyt jasnym, nieprzeciążony garnirunkami, uważany za najstosowniejszy. Rozmaite chustki dosyć nabite i ciepłe, a jednak niezbyt grube i ciężkie bardzo obecnie wchodzą w użycie do podróży i spacerów, zarówno bowiem chronią od zimna jak i osłaniają od deszczu. Są one z kaszmirów dubeltowych i cienkich, z materyałów kiprowanych lub beżów w najrozmaitszych cieniach i kolorach, gładkie lub w pasy i kratę. Najwięcej używane są we wszelkich odcieniach popielatych i écru, w kratę lub pasy żywszych kolorów, trzymające około 160 centymetrów w kwadrat, a składane być powinny w trójkąt. Najmodniejsze jednak i najwięcej cenione są chustki perskie przerabiane lub haftowane w różnokolorowe arabeski, palmy i desenie, takie służą nietylko na spacery lecz i na wizyty; składać je można na krzyż albo prosto przez środek, lecz w tym ostatnim razie upięte być powinny nakształt dolmanów, a na przeszyciu fałd przybrane sznurami, agrafami i kwastami. Arystokratyczne damy Londyńskie w dnie mgliste lub chłodne, w miejsce okryć używają prawdziwych szali indyjskich, bo takowe z powodu nader wysokiej ceny nie mogą się zbyt upowszechnić i opatrzyć. Lekkie okrywki i zarzutki rozmaitych fasonów wyrabiane są z kaszmiru, tiulu grosbotowego, materyi jedwabnych lub lekkich wełnianych tkanin, które czasem przerabiane są jaskrawemi kolorami, w lepszym jednak guście są czarne lub w kolorach szarych, écru lub popielatych w dwóch cieniach. Do oszycia służą frendzle siatkowe lub szmuklerskie, tiul wywodzony lub haftowany albo koronki.

Kostiumy z kretonów, perkali lub oksfortu, służą tylko do wód lub spacerów rannych, od godziny czwartej panie używają sukien lekkich wełnianych lub jedwabnych; albo spódnic jedwabnych z vêtement z materyi wełnianej lub lekkich tkanin jak gazy, grenadyny jedwabne, tiul albo koronka. Dla młodych osób najwłaściwsze są suknie z muślinu, lub lino kolorowego, albo białe muślinowe; dla niedorosłych panienek pika, perkale i kolorowe półbatysty.

W tym roku więcej niż kiedykolwiek wykwintność zależy na harmonji całego ubrania, to też osoby ściśle stosujące się do mody, przestrzegają ażeby suknia, mantylka lub chustka, kapelusz, parasolik, rękawiczki i buciki były jednego lub jednakowo dobranych kolorów. Osoby jednak z dobrym gustem mogą uniknąć zbytkownych wydatków, nie używając sukien w bardzo jasnych kolorach, lub ze zbyt odznaczającym się deseniem albo przybraniem. Zmienione i zręcznie przypięte kokardy do sukni lub kwiatek do kapelusza, bez kosztu urozmaicają ubranie.

Niektóre paryżanki lubiące ekscentryczne toalety, używają do wszelkich kolorów sukni czerwonych parasolików, przypominających kolorem owe patryarchalne wielkie parasole, pod które schronić się mogła cała rodzina; moda ta jednak nie będzie nigdy ogólnie przyjętą, a czarny parasolik ozdobiony koronką i zmienianą odpowiednio do sukni kokardą, albo parasolik z pokryciem *écru* i podszewką stosownego do sukni koloru, jest mniej rażący i w lepszym guście.

Staniki do sukien wieczorowych, koncertowych, albo do Kassyno u wód, są zapinane z tyłu, a z przodu wycięte w kwadrat albo szalowo, a rękawy dochodzące tylko do łokcia, dopełniają rękawiczki długie na 6, 8, lub 10 guzików.

Bardzo cienkie płócienne kołnierzyki, z tyłu stojące, z przodu wyłożone i z dość długim wykrojem; mogą być zupełnie gładkie albo ozdobione haftem, kratką wyciąganą, walansjenką lub irlandzką koronką. Do strojnego ubrania służą kołnierzykowe chusteczki z tiulu i koronek. Nowość stanowią kołnierzyki płócienne wyszyte nitką złotą, ściegiem cierniowym, albo haftowane jedwabiem jasnoszafirowym lub *cardinal*.

Nazwa *crême* stała się już zbyt pospolitą, kolor jednak jest ciągle modny, tylko trochę jaśniejszy i przezwany „*ivoire*“ czyli słoniowej kości. Krawatki więc i woaliki z tiulu crême, nazywają teraz „*blanc ivoire*“. Nowość stanowią także krawatki z dwóch wązkich wstążek do cieniu, z długo spuszczonemi końcami z przodu.

Suknie białe znów w tym roku nadzwyczaj są modne, używają na nie najrozmaitszych materyałów: jedwabnych, wełnianych, bawełnianych, fular, bareż, grenadina, muślin,

alpaga, pika, a nawet dawno zarzucony gładki perkal biały bardzo jest noszony. Czarna jedwabna spódniczka z białą tuniką lub polonezką tworzy bardzo pańskie ubranie. W ogóle suknie białe przybierają czarnem, a czarne i ciemne białemi koronkami. Ten rodzaj przybrania nawet dla starszych pań bardzo jest stosowny.

Najstrojniejsze przybranie sukien stanowią koronki wszelkiego rodzaju, tak dalece rozmaitość jest tu dozwoloną, że jasne wełniane suknie przybierają białemi wełnianemi koronkami.

Tuniki haftowane stanowią najstrojniejsze ubranie, haft ręczny jest nadzwyczaj drogi i mało dla kogo dostępny, ale tak zwany „warsztatowy" równie ładnie ubiera a jest o wiele tańszy.

Dla młodych panienek bardzo są modne sukienki białe perkalowe; cała spódniczka układana w zaprasowane plisy i takiż paltocik przybrany koronką *torchon.*

Pończochy kolorowe tak modne niedawno, teraz już tylko dla panienek i chłopczyków są używane, i powinny być w kolorze odpowiednim sukni.

Powiemy jeszcze słówko o bardzo modnych bizuteryach artystycznie wyrabianych ze srebra; mają one symboliczne religijne znaczenie. Opiszemy niektóre:

Medalion w kształcie serca; w środku monogram ażur trzy litery J. H. S. oznaczające *Jèsus sauveur des hommes* (Jezus zbawca ludzi). Po nad monogramem gotycka królewska korona, także ażur wyrobiona.

Medalion okrągławy, jakby z czterech okrągłych zębów złożony. W około napis streszczający słowa usłyszane w Lourdes w 1858 r., w środku litery N. D. starożytnej formy, przepasane jakby wstążką na której wypisane drobnemi literami „de Lourdes" co razem tworzy monogram „Notre Dame de Lourdes" (N. Panna z Lourdes).

Brosza nazwana „Szpada Joanny d'Arc" w kształcie krzyża i na górnem jego ramieniu znowu wyrobione cztery małe krzyżyki, co razem przedstawia owe pięć legendowych krzyży. Na klindze napis: „Dieu et la France" (Bóg i Francya).

Brosza nazwana „Epeé flamboyante" (Szpada płomienista) także w kształcie krzyża. Na klindze napis „*Salva nos*" (Zbaw nas); w środku rękojeści serce. Ten napis da się niejednokrotnie tłomaczyć. *Salva nos* każe domyślać się *perimus* (giniemy). Okrzyk taki wydali apostołowie w chwili gdy mieli zatonąć w morzu, dziś społeczeństwo zagrożone zgubą takiż okrzyk wznosi do Pana Zastępów. Wreszcie każdy może zastosować te słowa do siebie lub swoich.

Takie broszki są noszone także przez panów jako szpilki do krawatów.

Najmodniejsze obecnie perfumy nazywają się *Shores Caprice* mają woń nader miłą, mocną i trwałą.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Michalinie P. w Rotundzie. Kalendarzyk posłany pod opaską, należne kop. 22. odebraliśmy.

Pani Maryi S. w Wodopojach. Kapelusze dla dziewczynek jakie najmodniejsze i najpraktyczniejsze z tanich wysłane, również wskazana forma vêtement. Do przysłanych pieniędzy, włączywszy pozostały w redakcyi depozyt, dołożyliśmy kop. 40.

Pani Eugenji I. w Korzówce. Perkal angielski na pokrycie mebli jest od kop. 20 do 90, szerokość różna od 5 ćwierci do dwóch łokci. Przesyłka pocztowa, opakowanie, komisowe od kilkudziesięciu łokci perkalu wynosi zapewne około rs. 3. Trąbki akustyczne są różnorodne, jedne zsuwane jak perspektywy teatralne w cenie rs. 3 kop. 50 inne z wężami gutaperkowemi i te najpraktyczniejsze według zdania znawców od ceny rs. 2 kop. 6.

Panu Maksowi P. w Terenkowcach. Pierwszy i drugi numer Śpiewnika Moniuszki kosztuje rs. 5, czyli po rs. 2. kop. 50 każdy.

Panu Aleksandrowi K. w Kremieńczugu. Pieniądze na Klechdy złożono gdzie należało, książka wysłana, dołożyliśmy rs. 1 kop. 36.

Pani Leontynie W. w Kazaniu. Kapelusz wysłany w ostatnich dniach maja, to jest w parę dni po otrzymaniu listu. Nuty za pozostałość od kapelusza wysłano pod opaską.

Pani Teressie W. w Wiaźnie. Pieniądze na sprawunki przyjmuje redakcyja pod adresem wymienionym na końcu każdego numeru Tygodnika Mód. Jako komisowe za zajęcie się sprawunkami i ich wysyłką, pobieramy procent, wynoszący od małych kwot 6% a zmniejszający się do 2% stosownie do wysokości przysłanej sumy na sprawunki.

Panu Janowi K. w Siennie. Kalendarz posłano. W depozycie nie pozostaje kop. 40 lecz tylko 34, przesyłka kalendarza kosztowała kop. 6.

Panu Fryderykowi W. w Alogji. Wyborna jest Historya Starego i Nowego Testamentu Brodzińskiego i kosztuje bez drzeworytów kop. 75, z drzeworytami rs. 1 kop. 50. Ozdobne zaś wydanie illustrowane bardzo staranne rs. 4 kop. 5, pani Hoffmanowej kop. 90. i Kozłowskiego rs. 1 Katechizm tegoż samego autora kosztuje kop. 20. Jako zaś treściwy podręcznik zasad religji katolickiej polecamy katechizm ks. Gorzelańskiego, ułożony na pytania i odpowiedzi, obszerniejszy kop. 45, mniejszy kop. 7 ½.

Pani Ewelinie W. Na przesyłkę i kupno żądanego w liście deseniu na bursę, nie odebraliśmy pieniędzy. Deseń aplication i opłata pocztowa zapewne nie przeniesie kop. 50.

Pani K. S. w Niszczach. Kuchenka naftowa na trzy fajerki z przyrządem wskazanym, kosztować będzie mniej więcej 10 rs., a przesyłka zapewne 2 rs. wyniesie.

Pani B. w Wesołym kącie. Parasolików jasno-zielonych nie używają. Muślinek w pasy najodpowiedniejszy i doskonale się pierze; dołożyliśmy do sprawunków rs. 1. kop. 83.

Pani Ludwice G. w Owruczu. Maszynę żądaną wysłaliśmy — dołożywszy do jej przesyłki rs. 2 kop. 10.

Pani G. w Tomaszówce. Książki posłane, pozostało od ich kupna kop. 45 ½ w depozycie redakcyi.

Pani R. w Nowogrodzie. Włosy i konserwy wysłane, pozostało od przesyłki kop. 60.

Pani Filipinie B. w Izowiczu. Kapelusz wysłany, pozostało kop. 19 ½.

Pani Antoninie L. w Sławiańsku. Posyłka na rs. 75 kop. 3 wysłana — a pozostało w depozycie redakcyi rs. 4. kop. 97.

Opis ryciny kolorowej.

Fig. 1. Ubranie spacerowe. Spódnica beżowa piaskowego koloru, ogarnirowana marszczonym wolantem i plisowanemi falbankami. Vêtement z materyi wełnianej w pasy piaskowe i niebieskie, przerabiane w deseń, oszyte jest szeroką frendzlą jedwabną, wiązaną, oraz plisą z niebieskiej materyi. Z przodu vêtement zapięte na kokardy ze wstążki niebieskiej, które zdobią także rękawy i dane są przy fałdach z tyłu. Kapelusz czarny bastowy ubrany repsem *crême*, koronką białą, plisowaniem z krepy, konwalją i liśćmi z odcieniem jesiennym.

Fig. 2. Ubranie domowe. Suknia z batystu *écru* z tuniką i stanikiem z baskiną, ogarnirowana plisowanemi i marszczonemi falbankami, z których te ostatnie dziergane w ząbki i haftowane jedwabiem bronzowym. Kieszonka czarna aksamitna oszyta koronką i przybrana kokardami ze wstążki repsowej, zawieszona na wstążce przewleczonej przez ogniwa łańcucha ze srebra oksydowanego.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 6 (18) Іюля 1876 г. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28)

Dodatek.

Opis do N. 39.

(Dokończenie).

N. 4. Kapelusik słomkowy marynarski.

Ma rondko podszyte blado niebieską materyą; główkę opasuje przewinięta wstążka repsowa, 7 cent. szeroka, związana z tyłu w węzeł z końcami po 45 cent. długiemi. Z boku dana suta w górę zwrócona kokarda i bukiecik z niezapominajek i róży.

N. 5. Kapelusz ogrodowy z muślinu.

Wykończa się w ten sposób co kapelusik opisany na ryc. 2—3; wielkość ronda stosuje się do wieku, praktyczniejsze są wielkie ronda bo lepiej zabezpieczają od słońca. W modelu jaki załącza ryc. 5 pierwszy fiszbinek do wsunięcia w rondko, liczy 89, drugi 67, trzeci 51 cent. długości; przy stębnówce bieżnej zostawiony odstęp $1 \frac{1}{2}$ cent., który układa się lub rurkuje nakształt falbaneczki. Na główkę potrzeba owalnego kawałka 28 cent. długiego 25 mającego średnicy, podłożonego różową podszewką i sztywnym tiulem; na rondo potrzeba prostego kawałka białego muślinu, podszytego różowym, 97 cent. długiego a 9 szerokiego. Przybranie stanowi riusza z białego i różowego muślinu razem wyciętego w ząbki 8 cent. szeroka układana w podwójne kontrafałdy, złączona z tyłu sutą kokardą.

N. 6. Kaftaniczek koronkowy bez rękawów.

Stanowi modne dopełnienie eleganckiej toalety wizytowej lub koncertowej. Model jaki ryc. 6 przedstawia odrobiony jest z wszywki koronkowej crême 4 cent. szerokiej, zszywanej podług formy; szwy składa wstążka i koronka crême; z jednego boku na brzegu baskiny dana maleńka kieszonka z kokardami. Szyjąc taki kaftanik trzeba doskonale dopasowaną formę wyciąć z grubego papieru i na niej naszywać koronkę.

N. 7. Chusteczka z grosbotowego tiulu crême.

Potrzeba na nią rozsuniętego poprzecznie kwadrata, zaokrąglonego w kątach rozwartych, 175 cent. długiego a 76 mającego średnicy, który składa się trójkątnie w ten sposób ażeby spodnia połowa wysuwała się na 7 cent. dłużej. Przez założenie trzech podłużnych fałd. szerokość chusteczki zwęża się do 25 cent, ażeby wykrój szyi nie zachodził zbyt wysoko zakłada się na środku z tyłu fałdę, którą przykrywa ko-



N. 1. Kapelusz biały batystowy zwany Helgolandka.

N. 3. Kapelusz okrągły batystowy. Patrz ryc. 2.

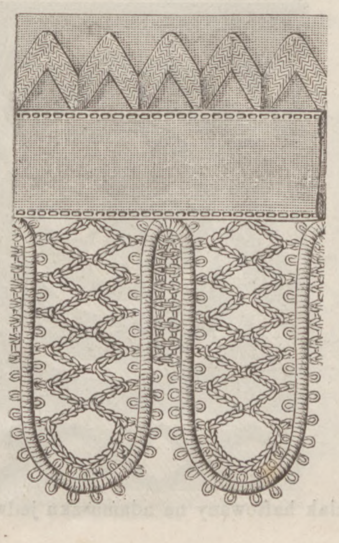
N. 2. Kapelusz okrągły batystowy dla małych dziewczyczynek. Przód podaje ryc. 3.

N. 4. Kapelusz marynarski z florenckiej słomki.

N. 5. Kapelusz ogrodowy z muślinu.



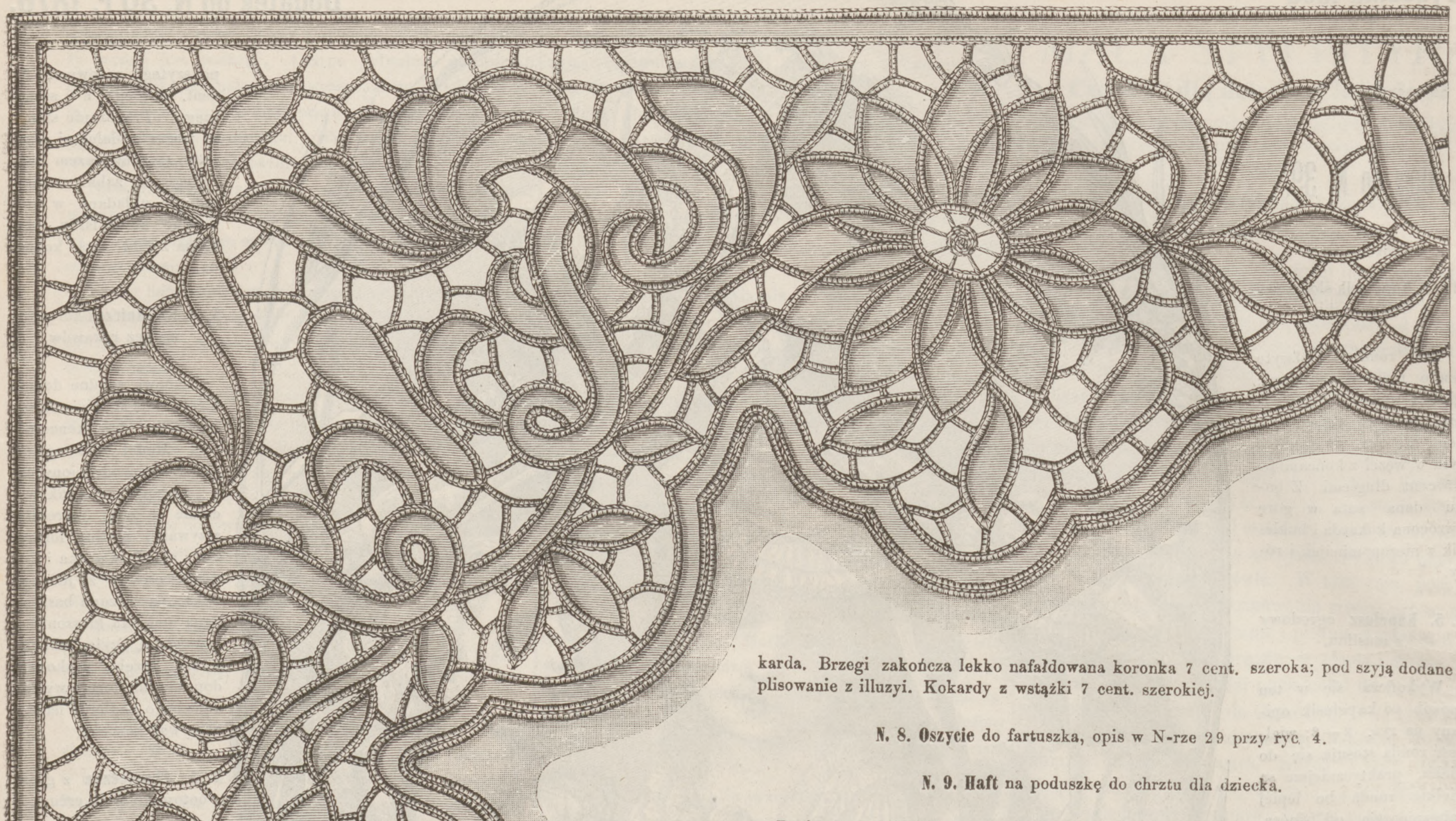
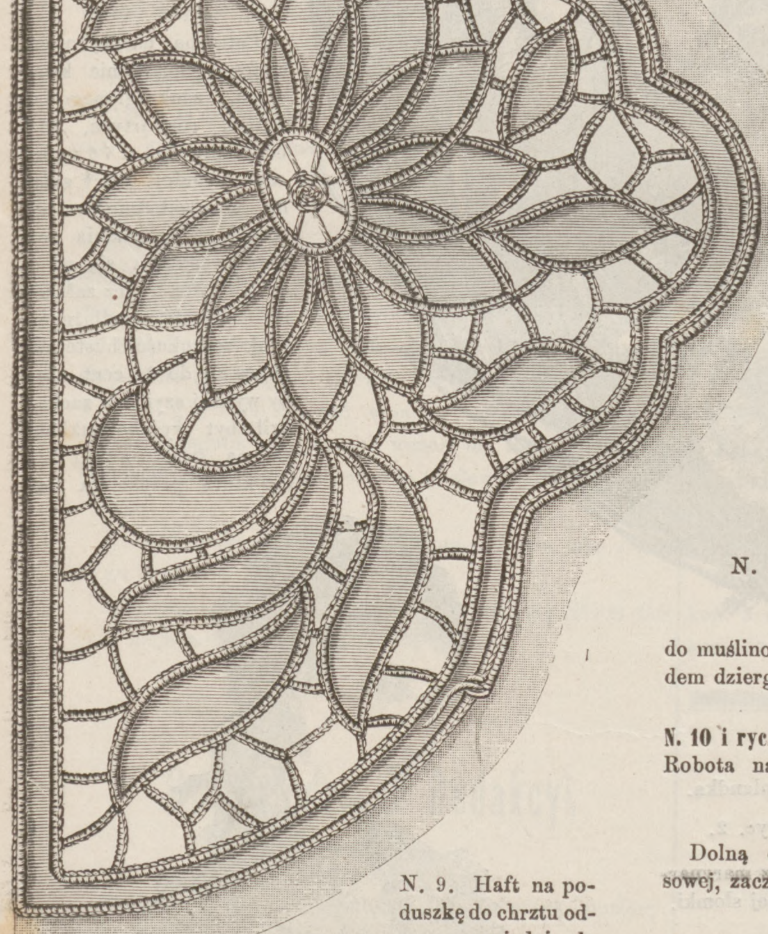
N. 6. Kaftaniczek koronkowy bez rękawów.



N. 8. Oszycie do fartuszka patrz ryc. 4 w Nr 29.



N. 7. Chusteczka z grosbotowego tiulu crême.

karda. Brzegi zakończa lekko nafałdowana koronka 7 cent. szeroka; pod szyją dodane plisowanie z illuzyi. Kokardy z wstążki 7 cent. szerokiej.

N. 8. Oszycie do fartuszka, opis w N-rze 29 przy ryc. 4.

N. 9. Haft na poduszkę do chrztu dla dziecka.

Rycina 9 przedstawia w naturalnej wielkości połowę deseniu do haftu na poduszkę do chrztu, odpowiednią do ubrania dla dziecka do chrztu jakie podaliśmy w N-rze 28 Tyoodnika na ryc. 11. Haft ten odrobiony na cieniutkiem płótnie, przytwierdzony jest do muślinowego tła poszewki podwójnym rzędem dziergania, jak to widać na ryc. 9.

N. 10 i ryc. 17 w N-rze 29. Bucik dla dziecka. Robota na drutach. Materyał: włóczka angielska ponsowa i biała.

Dolną część bucika robi się z włóczki pąsowej, zacząwszy od środka z tyłu na o. 48, ciągle gładko tam i na powrót razy 32, zawsze pierwsze oko druta zdejmując nie przerobione. Na początku 33 rzędu, zagubia się 10 o., następne 28 zdejmuje się na oddzielny drut i robi gładko tam i na powrót dolną część przygubia i podeszwę, zawsze zdejmując pierwsze o., a co 4-te obrobienie gubiąc 1 o. na



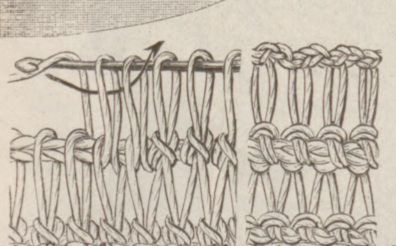
N. 10. Bucik dla dziecka. Robota na drutach.

N. 11. Bucik dla dziecka. Robota szydełkowa. Patrz ryc. 12—13.

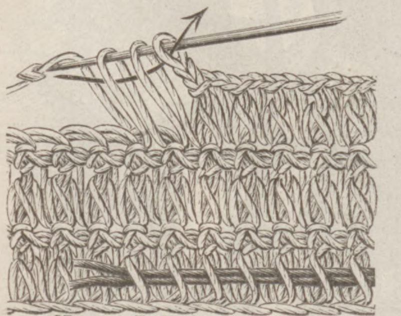


N. 14. Kaftanik dla dziecka. Robota na drutach.

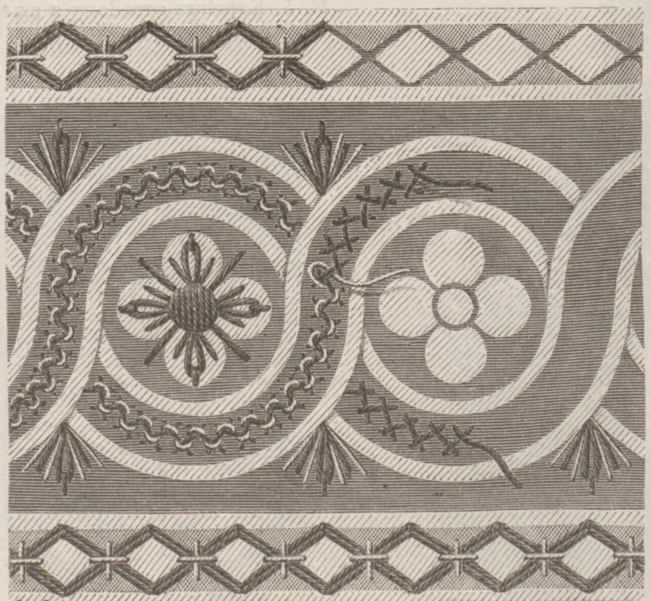
N. 9. Haft na poduszkę do chrztu odpowiedni do haftu na sukience rycina 11 w Nr 28.



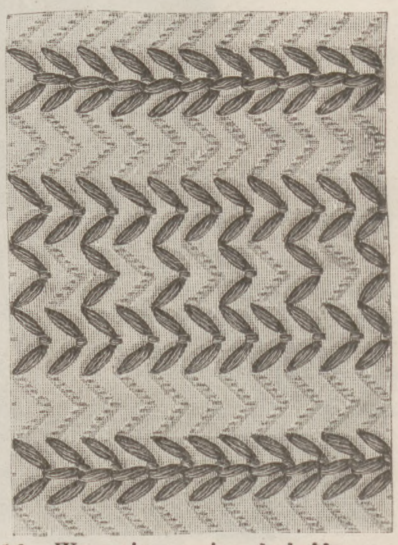
N. 12. Szydełkowe obrobienie brzeżne do bucika ryc. 11. Strona prawa i lewa.



N. 13. Robota tła do bucika ryc. 11.



N. 15. Szlak haftowany na adamaszku jedwabnym.



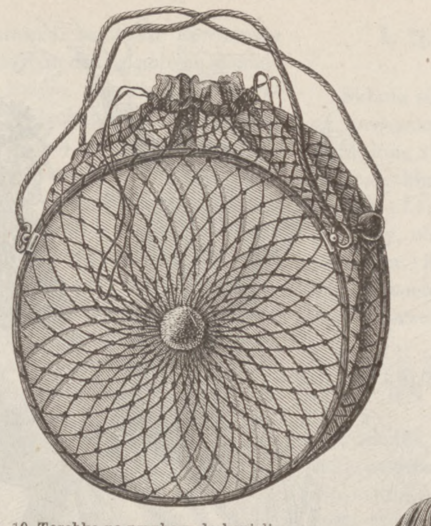
N. 16. Wyszycie na pice, do kołdry, ryc. 10 w Nr 29.

początku i na końcu druta, zrobiwszy w ten sposób 36 rzędów, zakończa się pozostałe o: 10. Poczem w ten sposób jak na piętę w pończosze, nabierają się oczka brzeżne z jednej strony, na drut na którym pozostało 10 o. nie zakończonych i robi się zwierzchnią część przygubia, złożoną z 20 obrobień. W każdym z góry na dół idącym rzędzie, ostatnie oko zrabia się z jednem z zakończonych 10 o. przy podeszwie. Nakoniec odwraca się bucik na lewą stronę nabiera oczy z drugiej strony przygubia i zarabia razem z oczami ostatniego obrobienia, oraz łączy się cholewką z tyłu. Teraz 40 górnych o. bucika, nabiera się na 3 lub 4 druty, i dorabia górną część cholewki z włóczki białej. Przy pierwszem gładkiem obrobieniu przybiera się co 2 o. jedno, ażeby mieć ocz 60; dalej robi się w koło zawsze 3 o. gł. 3 o. krę., a co 5 te obrobienie pierwsze o. gładkie przeciąga się przez dwa następne, w następującem zaś obrobieniu przybiera się 1 o., biorąc od spodu w oko przeciągnięte. Obrobiwszy w koło razy 16, zakończa się cholewkę i dodaje ząbki pikotowe szydełkiem, oraz wskazane na ryc. 10 wyszycie z włóczki czarnej i białej, i sznureczki z kwaścikami.

Na ryc. 17 w Nr 29 Tygodnika, znajduje się próbka roboty, górnej części cholewki.



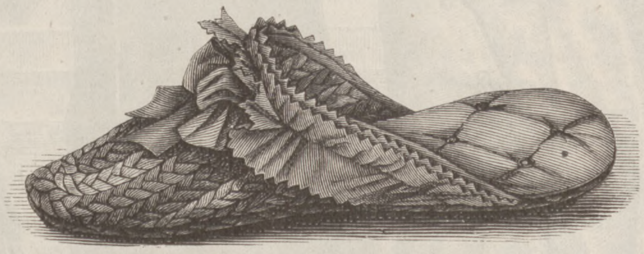
N. 17. Koszyczek ręczny, robota szydełkowa z tasiemeczką w ząbki. Patrz ryc. 18 i ryc. 8 i 9 w N. 29.



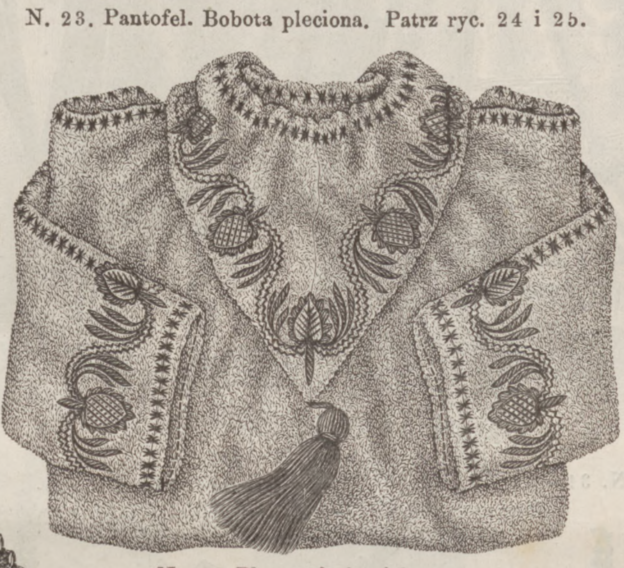
N. 19. Torebka na przybory do kąpieli, powleczona siatką.



N. 20. Ubranie do pływania z materyjału trykotowego.



N. 23. Pantofel. Robota pleciona. Patrz ryc. 24 i 25.



N. 22. Płaszczyk kąpielowy z kapturkiem.



N. 21. Ubranie kąpielowe z flaneli.

N. 11—13. Bucik dla dziecka. Robota szydełkowa.

Materyał: estramadura Nr 6 i bawełna ponsowa dająca się prać.

Podeszwa tego bucika wykończa się oddzielnie robiąc tam i napowrót rzędy o. śc. zajmowanych za obie nitki o. poprzedniego rzędu; zaczyna się od 9 o. i przybiera do 15 o. w sześciu następnych rzędach, przerabia potem 11 razy nie przybierając a w 5 dalszych rzędach gubi po jednem przedostatniem oczku. Mając tylko 10 o. przerabia 4 razy, w dwóch dalszych rzędach przybiera po 1 o. śc., dalej znów 4 razy gładko i 4 gubiąc po 1 o., poczem podeszwa się zakończa ośmioma oczkami.

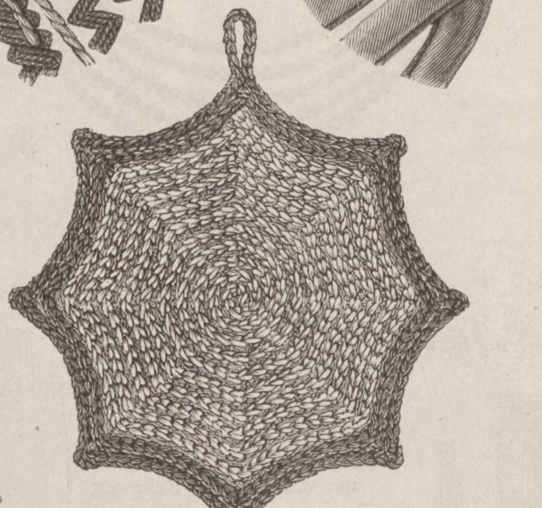


N. 18. Część pałączka do r. 17.



N. 24. Splot do ryc. 23.

Ścieg szydełkowy użyty do roboty bucika przedstawia w naturalnej wielkości ryc. 13; robi go się tam i napowrót przęciągając pierwszą pentelkę tuż przy o. skończonem za obie połowy o. poprzedniego rzędu, drugą pentelkę za obie połowy następnego oczka, poczem przez trzy na szydełku będące pentelki przeprowadza się nitkę (jak to na ryc. 13 oznacza strzałka) i przerabia 2 o. pow. Drugi rząd obejmuje o. śc. zajmowane pod każde 2 o. pow. poprzedniego rzędu. Cholewka zaczyna się na 28 o. i przerabia 4 razy bez przybierania; w 5-tym i w 11 rzędzie opuszcza się na końcu 1 o. (na brzeg spodni). Rząd 16 stanowi tylny środek cholewki której druga połowa odrabia się w tenże sam sposób tylko w odwrotnym kierunku. Skoro ostatni rząd (32-gi) ukończony zamocowywa się nitkę a pierwszy rząd przerabia się od lewej strony o. śc. nową nitką, poczem następuje pierwszy rząd na przednią część bucika, na którą zajmuje się 15 oczek z każdego boku cholewki od dołu, a górne oczka stanowią brzeg do przedniego sznurowania. Przednia część liczy 16 rzędów, w których na początku 6, 9 i 14 gubi się po 1 o., na środku zaś gubić po 1 o. w każdym rzędzie: w palcach zakończa się 9 oczkami. Pod luźne nitki oczek po skończeniu roboty przeciąga się podwójną nitkę ponsowej bawełny, jak to ryc. 13 wskazuje. Cholewa i podeszwa zszywają się razem od lewej strony. Rzęd o. śc. bawełną ponsową przyrabia u góry i wzdłuż podbicia dane wyłożenie, odrobione oddzielnie z białej bawełny, ściegiem tunetańskim. Na to wyłożenie, którego prawą i lewą stronę przedstawia ryc. 12, potrzeba zacząć 92 o.; w rzędach idących ku lewej ręce przewłóczy się pentelki w podobny sposób jak na ryc. 13, tylko że pentelki pozostają nie przerobione na szydełku aż dopiero po skończeniu całkowitego rzędu przerabia je się na sposób tunetański oczkiem pow. w pierwszym rzędzie, w drugiem zaś przerabianiu po każdem o. pow. przytrzymującem pentelkę daje się 2 o. pow., jak



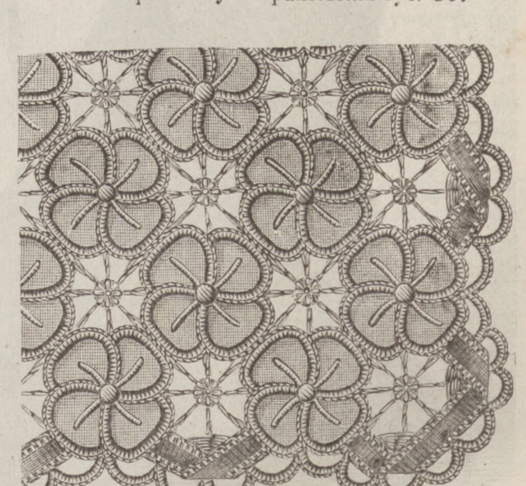
N. 26. Mydlnik. Robota szydełkowa. Patrz ryc. 18 w N. 29.



N. 25. Lewa strona podeszwy do pantofelka ryc. 23.



N. 27. Kołnierzyk marynarski. Robota koronkowa z mignardise.



N. 28. Kołnierzyk marynarski. Dzierganie na muslinie i pajączki ażurowe.

to widać na ryc. 12. Do sznurowania służy sznur ponsowy z białemi kwastami; wierzch bucika zdobi rozeta ponsowa.

N. 14. Kaftanik włóczkowy dla dziecka. Robota na drutach. Materyał: Estramadura Nr 4 1/2 gramów 75.

Kaftanik zaczyna się od dołu i robi zawsze tam i napowrót, jedno o. gł. drugie krę., zmieniając kolej oczek przy odwróceniu roboty, ażeby zawsze kręte nad krę. a gła. nad gład. wypadały. 28 —30 takich obrobień stanowi szlaczek, po którym następuje tło także z oczek krę. i gła., robionych w ten sposób iż tworzą rzucik z 3 nad sobą idących oczek, naprzemian gładkich i krętych. Po 60-ciu obrobieniach następują 2 rzędy kręte, 1 gładki, potem dziurki do przewleczenia wstążeczki w pasie, zakończone 1 rzędem gł. i 2 krę. Obrobiwszy 10 razy na stanik, dzieli się o. na przód, boki i plecy; na te ostatnie pozostawia się z brzegów po o. 56, po 15 na boczki a na przód 76. Każdą część plecków obrabia się na oddzielnych drutach razy 48, poczem 30 o. z brzegów pozostaje na drucie, a 26 przerabia się 14 razy na ramiączko, gubiąc na końcu każdego druta 1 o. na podkrój szyi i pachy, tak



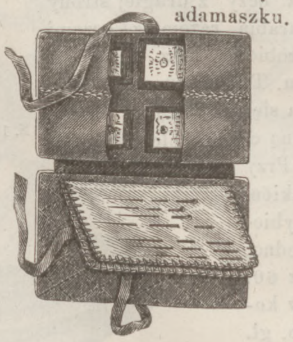
N. 29. Książeczka do igieł. Zamknięta. Patrz ryc. 30.



N. 31—32. Vêtement jak płaszczyk podróżny. Krój podług ryc. 8—9 w Nr 19 Tygodnika Mód.

cu 15 o boczka, których liczba stopniowo zwęży się tym sposobem do 2. W dalszych obrobieniach te 2 o. robią się zawsze jedno gł. drugie krę. dla odznaczenia szwa, po bokach którego zwęża się stopniowo rękawek do o. 60; dalej robi go się równo w koło i zakończa mankietem wywijanym, takim jak szlak u dołu, obrobionym ząbkami szydełkowemi.

N. 15. Szlak haftowany na jedwabnym adamaszku.



N. 30. Książeczka do igieł. Otwarta. Patrz ryc. 29.

Kawałek jedwabnego niebieskiego adamaszku w żółty deseń, stanowi tło szlaku, wyszytego ściegiem luźnym i krzyżowanym, kordonkiem ponsowym i czarnym. Pasy takie w połączeniu z pasami aksamitu lub repsu stanowią pokrycie na poduszkę do kanapy, na krzesło, lub pod nogi.

(dok. nas.).



N. 33—36. Modne ozdoby dżetowe.

iż w końcu pozostaje o. 12. W taki sam sposób robi się przód, potem łączy się ramiączka z lewej strony, nabiera brzeżne oczy wykroju na druty i obrabia jak w pasie, do nawleczenia wstążeczki. Rękawek zaczyna się od góry i przyrabia w jednym ciągu do pachy, uważając spojenie ramiączka za środek i nabierając na dwie jego strony po o. 10, które obrabia się 2 razy. W następnych 10 rzędach, rozszerza się rękawek do o. 40, przybierając na początku i końcu druta w brzeżne o. pachy; potem nabiera się z obydwóch stron pachy po o 17, przyłącza 15 pozostałych o. boczka i robi się rękawek w koło, razem z klinikiem, któren odznaczają oczka gubione zawsze gładko w 6 początkowych obrobieniach, na początku i koń-



N. 37. Suknia z kirasem i okrągłą tuniką.



N. 38. Suknia ze stanikiem z baskiną i tuniką ułożoną z tyłu naksztatł szarf.